ŻYCIE

ROK XI NR 36(533) NIEDZIELA, 8 WRZEŚNIA 1957 R. CENA 1/6.



Nowoczesna kolumnada zastosowana w szkole przy Bishop's Road w Londynie, sprawia że klasy mają dużo światła wyeliminowanego z blasku, który mógłby razić oczy uczniów. Kolumny służą przy tym dzieciom do zabawy w chowanego

ŻYCIE

ROK XI NR 36(533)

Niedziela, 8 września 1957 r.

Wydaje:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS", — 12 Praed Mews, London, W.2.
Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3 - 4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): miesięcznie: szyl. 6/6, dol. 1.10, fr. fr 330; **kwartalnie:** szyl. 19/6, dol. 3.00, fr. fr. 975; półrocznie s. 39/-, dol. 6.00, fr. fr. 1.950.

Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji „Życia". Zmiana adresu sh 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 łam — £ 1, dol. 3.00, fr. fr.1.000. Kolor. 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Społem",** 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; **R. Treister,** 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. **Belgia: Mme** E. Kułakowska, 1, Avenue Tedesco, Bruxelles. Pren. kwart. 130 frs. **Brazylia: Księżnica Polska,** Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka,** Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek,** Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: Ks. K. Stolarek,** 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CO 5 603 40. **Holandia: B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Canadian Mosaic Publishers,** Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; **International Book Service,** 57 Queen St. W., Toronto. **Niemcy: St. Mikiciuk,** Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 10 MD. **Norwegia: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjedn.: „Gryf Publication",** 296 Sheridan Av., Albany, N.Y; **M. Kijowski,** 380 North Av., Dunellen, N.J.; **„Pomoc" — Eksport-Import,** 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N.Y.; S. J. **Rozmysłowicz,** 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; **Mme J. Stojanowska,** 424 Ave. „E", Bayonne, N.J.; **Veritas Americana,** 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, **Flushing** 55, N.Y. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska,** Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 9.00 fr. **Szwecja: Mgr. B.** Z. Kurowski, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 14.25 krs. **Włochy: Mme Bulhak-Jelska,** via Salaria 300 C Roma.

PUNKTY WIDZENIA

ŚWIĘTY OBOWIĄZEK

Początek roku szkolnego budzi w każdym z nas wiele refleksyj. Nawet ludzie już starsi i nie mający dzieci w wieku szkolnym przystają przed wystawami sklepowymi z książkami i przyborami szkolnymi, to znów z ubraniami dla uczniów i uczennic i odświeżają wspomnienia lat szkolnych, czy to własnych, czy swoich dzieci. A w dniu, gdy rankiem ulice miasta znów się zaroją tłumem spieszącej do szkół młodzieży, jakoś jest znów jaśniej, weselej i głośniej na świecie.

A cóż dopiero przeżywają rodzice, którzy mają w szkole dzieci, omawiające z zapałem zmiany w nowym roku szkolnym, nowe przedmioty nauczania i nowych nauczycieli. A jaki to ważny moment — ów początek roku szkolnego — dla młodych rodziców, którzy po raz pierwszy oddają dziecko pod opiekę nauczyciela i szkoły. Szkoły dla polskich dzieci.

Bo czy to w kraju naszym czy na emigracji, rodzice pragną mieć dobrą szkołę dla swoich, polskich dzieci. To jest zagadnienie istotne, bo rodzice zawsze pragną takiej szkoły i takiego nauczyciela, aby móc im spokojnie powierzyć własne dziecko, aby je uczono i dalej wychowywano zgodnie z wolą rodziców. A przynajmniej powinni chcieć, zwłaszcza jeśli chodzi o rodziców katolików, którzy rozumieją swe powołanie i którzy znają swe prawa i obowiązki wobec własnych dzieci.

Przypomina je bardzo prosto i wymownie orędzie Prymasa Polski, które w całości podajemy, a które duchowy ojciec współczesnych Polaków skierował do rodziców katolickich przed rozpoczęciem obecnego roku szkolnego.

O co właściwie chodzi? Dlaczego u progu roku szkolnego zabiera głos sam Prymas i dlaczego podajemy to jego orędzie w naszej prasie katolickiej, wydawanej dla rodaków poza granicami Polski?

W końcu ubiegłego roku nasza styczność z Krajem stała się ściślejsza, zobaczyliśmy w innym świetle wiele spraw i lepiej zrozumieliśmy położenie naszych braci w Kraju. Przeżywaliśmy wraz z nimi przywrócenie elementarnych swobód Kościołowi, a wśród nich i powrót nauki religii do szkoły państwowej. Co prawda jest religia nadal przedmiotem nadobowiązkowym i tylko wtedy udzielanym, gdy rodzice dzieci tego wyraźnie żądają. Dotychczasowa praktyka wykazała, że nawet wobec tego wyraźnego żądania nie wszędzie i nie zawsze je spełniano, że uciekano się do wybiegów i że utrudniano powrót nauki religii do szkoły. Tak się nieraz działo tam, gdzie rodzice i same dzieci wyraźnie i twardo domagali się swych praw. A cóż dopiero tam, gdzie rodzice okazali obojętność lub brak zdecydowania. Dlatego najwyższy autorytet moralny w Polsce, jakim jest Ksiądz Kardynał Prymas, musiał zabrać głos, aby rodzicom katolickim przypomnieć ich obowiązki.

Orędzie to jest dokumentem walki o Wiarę w duszy młodego pokolenia. Wymowny jest już sam jego tytuł, bo jeśli nasz Prymas często zwraca się do nas jako do „dzieci Bożych", to katolickim ojcom i matkom przypomina, że są „rodzicami dzieci Bożych", bo rodzą nowych Polaków dla Boga. Jemu bowiem mają je oddać odpowiednio do samodzielnego życia przygotowane. A więc nie tylko pod względem praktycznym i materialnym, ale przede wszystkim pod względem duchowym i moralnym. Rodzice są przed Bogiem odpowiedzialni za formację duchową swych dzieci, oni mają je włączyć w życie Kościoła oraz w życie społeczne i ukazać jego sens, oni mają nauczyć miłości bliźniego i sprawiedliwości społecznej w imię miłości Boga.

Szkoła jest przedłużeniem wychowania rodzicielskiego. Ona udoskonala wiele nauk otrzymanych w domu, ona daje wykształcenie potrzebne do życia, ale ona też powinna czuwać nad podtrzymaniem kontaktu między tymi wszystkimi czynami, które pełnego człowieka formują nie tylko do doczesnego życia, ale również do jego wiecznych przeznaczeń. Są to: rodzina, Kościół i szkoła. Nie może wychowanie szkolne dziecka katolickiego być takie, aby rozbijało w nim myśl, że jest ono dziecięciem Bożym przenzaczonym do tego, co Bóg człowiekowi jako jego cel wskazał. Nie może szkoła oddzielać w dziecku kultury, jaką mu daje, od kultury duchowej i od cnót, które modelują człowieka. Dlatego w szkole katolickiej mamy pełne współdziałanie rodziców, kapłana i nauczycielstwa, bo wszyscy oni mają przed oczyma swą rodzicielską odpowiedzialność za małego lub młodego człowieka, jako za dziecię Boże.

Gdyby więc Ksiądz Prymas skierował do polskich rodziców tylko te trzy słowa: „Rodzice dzieci Bożych" — przypomniałby im bardzo wiele, prawie wszystko, co powinni rodzice katoliccy wiedzieć o swym najświętszym obowiązku sumienia.

Bo to jest w chwili obecnej punktem centralnym w życiu naszego narodu: odpowiednie wychowanie młodego pokolenia. I to w życiu całego narodu, a zatem nie tylko w Kraju, ale i na emigracji, wszędzie tam, gdzie rodzice są nie tylko z imienia Polakami i nie tylko z imienia katolikami, gdzie są rodzice, którzy pragną dobrze wychować swe dzieci na dzieci Boże.

„Posyłajcie dzieci tylko do takich szkół, gdzie religia jest wykładana. Jest to ciężki obowiązek waszego sumienia... Przestrzegamy takich Rodziców katolików, którzy odważyliby się posyłać do szkół bez religii słowami Boskiego Zbawiciela: »kto by zgorszył jedno z tych maluczkich, które we Mnie wierzą, takiemu lepiej by było, aby uwiązano mu kamień młyński u szyi jego i wrzucono go do morza« (Mat. 18,6)" — wyraźnie woła i ostrzega Kardynał Wyszyński.

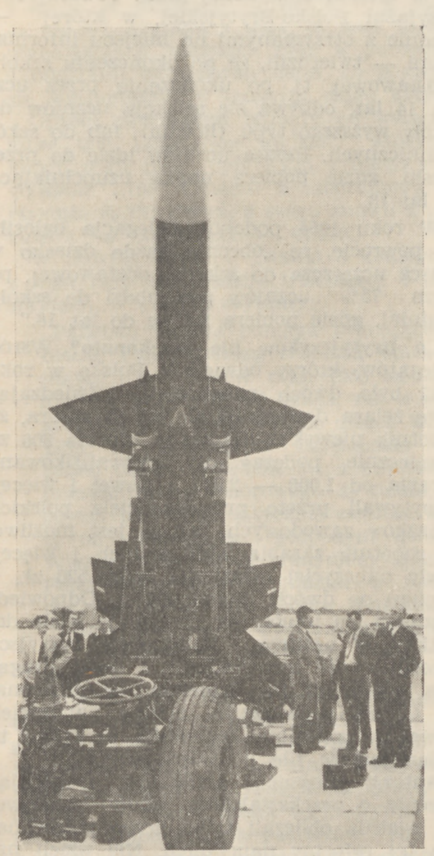
A wołanie to i ta przestroga są tak samo aktualne dla rodziców żyjących w Polsce, gdzie szkoła jest pod wpływem w zasadzie bezbożnej doktryny, jak i dla rodziców polskich żyjących w krajach zachodnich, gdzie szkoły państwowe i samorządowe znajdują się pod wpływami niekatolickimi lub zgoła są materialistycznie pogańskie. Wobec zaś braku przygotowania ze strony rodziców na emigracji i wobec małej ilości polskich kapłanów wśród nas i dla nas pracujących zgubne wpływy na dziecko polskie mogą być bardzo groźne.

J. C.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

ROK XI — NR 36 (533) LONDYN, NIEDZIELA, 8 WRZEŚNIA 1957



Najnowsza angielska rakieta, która leci z szybkością 2.000 mil na godzinę i której kierunek lotu można dowolnie zmieniać, ma być niezawodną i niezwykle skuteczną bronią przeciwlotniczą. Wystrzelona być może za naciśnięciem odpowiedniego guzika a przy pomocy swoich skomplikowanych urządzeń unieszkodliwi każdy nieprzyjacielski bombowiec.

W BIEŻĄCYM NUMERZE:

ŻYCIE KRAJU

ORĘDZIE PRYMASA POLSKI

NA ROZPOCZĘCIE ROKU SZKOLNEGO

Do Rodziców Katolickich
przed rozpoczęciem roku szkolnego.

Kochani Rodzice Dzieci Bożych!

Już wielokrotnie słowami i pismem zwracałem się do Was w trosce o religijne wykształcenie i wychowanie Waszych dzieci. „Wiecie, jakośmy każdego z was, jak ojciec swe dzieci, napominali i błagali" (I Tes. 2, 11).

Wobec zbliżającego się nowego roku szkolnego podnosimy na nowo swój głos ufni, że tak jak dotąd całym sercem i wolą gotową do czynu, przejmiecie się treścią.

W ubiegłym Roku Maryjnym, w święto Niepokalanego Poczęcia, wyszedł dekret ministerialny, który wprowadził z powrotem naukę religii do szkół naszych. Choć uważa religię za przedmiot nadobowiązkowy, to jednak rozbudził w duszach wszystkich rodziców, którym religijne wykształcenie w szkole głęboko zawsze leżało i leży na sercu, prawdziwy zapał i wzmocnił poczucie obowiązkowości. Mówiliście słusznie między sobą, że jest punktem honoru, sprawą odpowiedzialności przed Bogiem i miłości Bożej każdego ojca i matki, by zgłaszali i posyłali dzieci swoje na lekcje religii do szkoły. Z radością stosujemy do Was, Najmilsi, słowa Pisma Świętego: „umiecie dzieciom waszym dawać dobre rady" (Mat. 7, 11).

Złączeni w miłości czuwajcie z Sercem Boskiego Pasterza, by ani „jedno nie zginęło z tych maluczkich, które w Niego wierzą".

Pozwólcie, że na progu nowego roku szkolnego postawimy waszemu sumieniu, Rodzice katoliccy, takie pytanie: Czy złożyliście już przy zgłaszaniu waszych dzieci do szkół, tak podstawowych jak i średnich, deklarację, że życzycie sobie, by uczyły się w szkole religii rzymsko-katolickiej? Zważcie! Czy nie powiedział Pan Jezus wyraźnie o dzieciach: „Nie wzbraniajcie im przychodzić do Mnie" (Mar. 10, 14).

Wzbraniać — to nie tylko najniesprawiedliwiej i karygodnie przeciwstawiać się przyjściu dzieci do ich najlepszego Nauczyciela, to również ciężko zawinić przez grzech zaniedbania, wskutek czego dzieci nie mogą się spotkać w szkole z Boskim ich Przyjacielem.

Chrystus Pan ma prawo do dzieci. To jasne! „Dopuśćcie dziateczkom przyjść do Mnie" (Łuk. 18, 16).

Dzieci mają prawo do Chrystusa! Przez chrzest święty otrzymały „nasienie Żywota" wiecznego. „Takich jest Królestwo Niebieskie" (Mar. 10, 14). Życie z wiary, nadziei i miłości wymaga na ziemi ustawicznej pracy kapłańskiej i nauczycielskiej.

Nie daj tedy Boże, byście mieli zapomnieć o współodpowiedzialności z nami za to, czy religia będzie w szkole, czy też nie! Nie daj Boże, by opieszałość jednych rodziców narażała dzieci innych rodziców na utratę religii w szkole.

Posyłajcie dzieci tylko do takich szkół, gdzie religia jest wykładana. Jest to ciężki obowiązek waszego sumienia. Prywatne szkoły Towarzystwa Szkół Świeckich nie włączyły do swego planu nauki religii. Dzieci nie usłyszą tam świętej mowy Wiary. Przestrzegamy takich Rodziców katolików, którzy odważyliby się posyłać dzieci do szkół bez religii słowami Boskiego Zbawiciela „kto by zgorszył jedno z tych maluczkich, które we Mnie wierzą, takiemu lepiej by było, aby uwiązano mu kamień młyński u szyi jego i wrzucono go do morza" (Mat. 18, 6).

Przykładem Pana Jezusa, „tuląc dzieci wasze do siebie i kładąc na nie ręce, błogosławię im" (Mk 10, 16), i wam kochani Rodzice, i życzę, by wzrastały wam „w mądrości i w latach i w łasce u Boga i u ludzi". (Łuk. 2, 52)

Stefan Kardynał Wyszyński
Prymas Polski

Warszawa, w sierpniu 1957 roku.

POTRZEBA REORGANIZACJI SZKOLNICTWA

Na łamach prasy krajowej toczy się obecnie obszerna dyskusja na temat reorganizacji szkolnictwa ogólnokształcącego. Dyskusja wynikła z powodu kłopotów z młodzieżą w wieku 14-16 (względnie 17) lat, która po ukończeniu siedmioletniej szkoły podstawowej nie możne znaleźć zajęcia. Jest to problem, który starają się rozwiązać także pedagodzy i społecznicy angielscy, jednak — jeśli chodzi o Polskę, to ma ona z tej racji większe niż Anglia trudności, choćby tylko ze względu na trzy najbardziej istotne powody: sytuację gospodarczą Kraju, przyrost ludności, wyrażający się w cyfrze pół miliona rocznie oraz brak wykwalifikowanych kadr nauczycielskich. Z dyskusji, w której dotychczas zabierali głos ludzie, zdający sobie dobrze sprawę ze wszystkich tych trudności, można wywnioskować, że widzą oni ich rozwiązanie w przedłużeniu obowiązkowej nauki w szkole podstawowej z lat 7 do 8, albo nawet do 10.

Ostrą krytykę istniejącego stanu zawiera artykuł Aleksandra Małachowskiego w „Przeglądzie Kulturalnym" z 29 maja b. r. Małachowski na wstępie poddaje krytyce propagandę poprzednich okresów, które starały się udowodnić, że mogło być źle w różnych dziedzinach, jednak, jeśli chodzi o szkolnictwo, to wszystko było dobre. Oto co się mówiło:

„Zaniedbaliśmy przemysł lekki, praworządność, stopę życiową, kopalnie siarki i kilka innych drobiazgów, ale w dziedzinie oświaty, patrzcie, jakie to mamy osiągnięcia." Po czym zaczynał się wywód o ilości uczniów, objętych nauczaniem pozaszkolnym, o liczbie uczelni wyższych itd., itd.

Dopiero w roku 1956 — mówi Małachowski — zaczęto spostrzegać objawy upadku, a więc niski poziom wiedzy uczniów, zaniedbania wychowania moralnego, zwyrodniałych wychowawców i inne „pochodne" sprawy.

Małachowski przytacza cyfry dotyczące ilości szkół i młodzieży. Polska posiada obecnie 4.735 pełnych 7-klasowych, czyli podstawowych szkół. Na końcu bieżącego roku szkolnego opuści szkołę 282.000 absolwentów, z których około 70% powinno mieć możność dalszego kształcenia się, jednakże tylko 44% młodzieży w wieku od 14-17 lat będzie mogło kontynuować naukę. Dziś już około 35% nie kończy w rzeczywistości 7-letniej szkoły podstawowej, a na wsi sytuacja jest jeszcze gorsza. W sumie ponad milion młodzieży nie ukończyło szkoły podstawowej. Cyfra analfabetów zwiększa się z roku na rok.

Stan szkół, według Małachowskiego, jest niezadowalający. W ciągu najbliższych 8 lat przybędzie do szkół podstawowych półtora miliona dzieci. Tylko dla nich potrzeba będzie zbudować 12.600 izb szkolnych kosztem 8 miliardów złotych. Kto i w jaki sposób rozwiąże to zagadnienie, skoro dziś uczy się w szkołach na dwie, a nawet trzy zmiany, kiedy nawet dwuzmianowa szkoła nie jest w ogóle szkołą. Na same remonty trzeba by wydatkować drugie 8 miliardów. Upada przeto — zdaniem Małachowskiego — pojęcie powszechności nauczania, ponieważ tę zasadę zrozumieć trzeba nie tylko w ten sposób, że wszystkie dzieci pobierają naukę, ale znaczy ona także, że uczniowie zdobywają pewien, określony poziom wiedzy.

Ośmio czy dziesięcioletnia szkoła podstawowa? Ostatnio tematem dyskusji przedłużenia 7-letniej szkoły stała się praca prof. Falskiego pt. „Aktualne zagadnienia ustrojowo-organizacyjne szkolnictwa polskiego" oraz broszura Władysława Ozgi: „O 10-letnią szkołę podstawową w Polsce".

Prof. Falski jest zwolennikiem 8-letniej szkoły podstawowej. Nie zgadza się z wysuwanym projektem szkoły 10-letniej, przy czym zwraca uwagę na naturalny odpływ młodzieży ze szkół z uwagi na konieczność zarobkowania oraz pomocy rodzinie.

Odmiennego zdania jest Ozga, który w sposób stanowczy odrzuca nowy typ szkoły 8-letniej, do której, jak wiadomo, dochodzą dalsze cztery lata o poziomie licealnym. Usiłuje on przekonać czytelników, że szkoła 10-letnia byłaby tańsza od 8-letniej, oraz że szkolenie zawodowe — w oparciu o szkołę 10-letnią byłoby w czasie znacznie krótsze, a więc w sumie tańsze.

„Z ołówkiem w ręku." Pod tym tytułem poddał to zagadnienie dokładnej analizie Henryk Dankowski w „Trybunie Ludu" z 6 lipca. Przytacza on wpierw wypowiedzi prof. Falskiego, który twierdzi, że dodanie jednego roku nauki przy niepowiększaniu wymagań objętych programem obecnej szkoły 7-klasowej oraz niepowiększaniu ogólnej liczby godzin pracy szkolnej i domowej uczniów, mogłoby ułatwić ogółowi uczniów ukończenie pełnej szkoły 8-klasowej. Nie wzrośnie wówczas ilość godzin pracy ucznia i liczba godzin pracy nauczyciela, a zatem nie wzrosną także wydatki osobowe.

Dankowski przytacza przykłady zaczerpnięte z terenu wiejskiego, gdzie w roku szkolnym 1956/57 istniało 2.725 szkół o sześciu i więcej izbach lekcyjnych i wylicza, że gdyby tylko tam szkołę przedłużono z 7 do 8 lat, to trzeba by dobudować co najmniej 4.600 nowych izb szkolnych, gdyby stworzono szkołę 10-letnią, to ilość potrzebnych nowych izb szkolnych musiałaby wzrosnąć o co najmniej 10.000. Stąd już z góry odrzuca on projekt Ozgi, twierdząc, że 10.000 izb kosztować musiałoby więcej niż 4.600.

Z artykułu Dankowskiego dowiadujemy się, że obecnie pracuje w szkole podstawowej 36.800 nauczycieli. Gdyby wprowadzono szkołę 10-letnią, to stan kadr nauczycielskich musiałby ulec powiększeniu o dalszych 28.000, zaś po uwzględnieniu naturalnego ubytku nowy typ szkoły wymagałby w roku 1965 zwiększenia o 34.600 nauczycieli. Przyrost w tym czasie oblicza się na 18.900 — deficyt jaki powstałby w szkołach wyraża się cyfrą 15.700.

Dankowski twierdzi, iż pełne zrealizowanie szkoły 10-letniej potrwać musiałoby całe „ćwierćwiecze", a mimo to — zwłaszcza na wsi — przez długie lata szkoła nie byłaby szkołą powszechną. Odnośnie przekształtowania obecnej szkoły 7-letniej na 8-letnią Dankowski przewiduje, że pełne uruchomienie szkół w ten sposób zamienionych zajmie 10 lat.

O kosztach omawianej reformy pisał Małachowski w „Przeglądzie Kulturalnym". Wspomniałem już, że oblicza on koszt zmiany na 8-letnią szkołę na 8 miliardów złotych oraz drugie 8 miliardów na remonty. Stawiając te cyfry przypomina, że w budżecie na rok 1955 łączne wydatki inwestycyjne na szkolnictwo ogólno-kształcące i zawodowe, na opiekę nad dzieckiem i na przedszkola stanowiły tylko 1,9% globalnej kwoty wydatków inwestycyjnych. Dodaje przy tym, iż gdyby w obecnym położeniu szkolnictwo znalazło się w sytuacji najwyższego zagrożenia, to nie udałoby się wykroić z budżetu 2 miliardów złotych rocznie.

Próbka propagandy. W roku 1952 odwiedziła Polskę grupa przedstawicieli brytyjskich związków zawodowych. Po powrocie delegaci opublikowali swoje wrażenia z Polski w broszurce, wydanej przez Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Brytyjskiej, w której — zgodnie z otrzymanymi na miejscu informacjami — twierdzili, że po ukończeniu szkoły podstawowej, tj. po ukończeniu przez ucznia 14 lat, odbywa się selekcja uczniów do szkoły wyższego typu (liceum), lub do szkół technicznych. Reszta uczniów idzie do przemysłu, gdzie pobiera naukę uzupełniającą do lat 18.

W roku 1954 podobna delegacja ogłosiła po powrocie, że „obecnie każde dziecko w Polsce uczęszcza do szkoły podstawowej, po czym 75% uczniów przechodzi do szkoły średniej, gdzie pobiera naukę do lat 18."

Co Brytyjczyków nie przekonało? Wśród delegatów, którzy odwiedzili Polskę w roku 1952 było dwóch nauczycieli. Zwiedzając hutę żelaza dowiedzieli się od dyrektora, że robotnik niewykwalifikowany zarabia 600 zł. miesięcznie, podczas gdy wykwalifikowany zarabia od 1.000 — 2.000 a nawet i więcej. Zapytywali przeto przedstawiciela polskich związków zawodowych, jak to jest możliwe, że robotnik zarabia 2.000 złotych i więcej, kiedy nauczyciel otrzymuje tylko 520 zł., a dopiero po dwóch latach 900 zł. Odpowiedź brzmiała, że nauczyciel otrzymuje wiele dodatków w naturze. Nauczyciele brytyjscy ogłosili swoje sprawozdanie z taką uwagą: „Ta odpowiedź nas zupełnie nie przekonała. Gdyby podwyższono pobory nauczycieli nawet do podwójnej wysokości, to byłoby to wciąż jeszcze nie wystarczające".

Autorzy broszur i artykułów, dyskutując obecnie o przekształceniu szkoły 7-klasowej na 8-letnią obliczali tylko liczbę potrzebnej dla tej reformy nauczycieli. Nie wzięli natomiast pod uwagę poborów nauczycielskich, a to — co każdy musi przyznać — jest okolicznością o znaczeniu także bardzo istotnym.

A. B.

PRZEDSZKOLA

Równolegle z problemem szkoły podstawowej biegnie problem przedszkoli. Przyrost naturalny ludności w Polsce wynosi 19 (dziewiętnaście) na tysiąc, zaś w cyfrach absolutnych stanowi pół miliona urodzeń rocznie. Przed władzami stoi przeto zagadnienie nie tylko budowy nowych szkół, ale również i przedszkoli. Niezależnie bowiem od cyfr ogłaszanych przez Główny Urząd Statystyczny, którym można dać większą czy mniejszą wiarę, podany wyżej przyrost ludności nie budzi zastrzeżeń. Pewna też jest wiadomość o liczbie zatrudnionych w gospodarce narodowej kobiet; według oficjalnych komunikatów wynosi ona 34% ogółu osób zatrudnionych.

Wprawdzie w ostatnim czasie zwalnia się z pracy wielką ilość kobiet, jednak w pierwszym rzędzie kobiety samotne. Zatrzymywane są głównie mężatki, które albo są jedynymi żywicielkami, albo które zmusza do pracy poza domem zbyt niski zarobek męża.

Chociaż gospodarka narodowa osiągnęła szczyt możliwości zatrudnienia kobiet, to jednak wieś, szczególnie państwowe gospodarstwa rolne (PGR) wciąż jeszcze potrzebują wielkiej ilości rąk do pracy, ale w miarę zwiększania tam stanu zatrudnienia powstaje zaraz zagadnienie zwiększenia nie tylko szkół, ale i przedszkoli i żłóbków, bo matka nie pójdzie do pracy, jeśli nie będzie miała gdzie dziecka zostawić. Według Rocznika Statystycznego na rok 1955, stan przedszkoli w końcu roku 1954 był następujący:

Na terenie całego Kraju istniało 8.379 przedszkoli, z czego w miastach — 3.015, zaś na wsiach 5.304. Ogólna ilość dzieci uczęszczających do przedszkoli wynosiła 383.819, z czego w miastach — 233.722, a na wsi — 150.097. Wynika z tego, że ilość dzieci w przedszkolach wiejskich była w porównaniu z miastami stosunkowo mała, co postaramy się wytłumaczyć w dalszym ciągu artykułu.

Oprócz przedszkoli istniały po wsiach jeszcze tzw. „dziecińce wiejskie", których w końcu roku 1954 było 2.226, z czego w kołchozach 1.169. Ogółem z „dziecińców" korzystało 69.727 dzieci, z czego znowu z „dziecińców" w kołchozach — 41.280.

W nowym wydaniu „Nauki o konstytucji" z roku 1956 jest rozdział traktujący o przedszkolach, w którym czytamy:

> „Państwo ludowe pomaga pracującej kobiecie, coraz szerszą roztacza opiekę na matkę i dziecko. W roku 1955 żłóbki pomieściły ponad 47.000 dzieci, zaś w przedszkolach było około 400.000 dzieci. W roku 1938 do przedszkoli uczęszczało tylko 83.300 dzieci. Zwiększa się z miesiąca na miesiąc liczba zbiorowego żywienia, co powoli lecz systematycznie zwalnia kobietę od obowiązków gospodyni domowej. Wierne wspaniałym tradycjom kobiety - Polki biorą aktywny udział w walce o pokój i postęp. Ich praca umacnia siły naszej Ojczyzny — wychowują one dzieci na płomiennych patriotów Polski ludowej."

Propagandziści reżymowi zachłystujący się entuzjazmem przy podkreślaniu tego paragrafu „Nauki o konstytucji" nie zadali sobie oczywiście trudu, by wyjaśnić, kiedy to kobieta pracująca, przemęczona pracą poza domem i w domu, miała wychowywać dzieci na tych „płomiennych patriotów". Nie wspominali ani słowem o jej trudnościach, gdy od wczesnego ranka musiała wystawać przed sklepami, by zdobyć dla dzieci żywność, a po jej zdobyciu musiała spieszyć do pracy, gdzie za spóźnienia czekały ją kary na podstawie ustawy o socjalistycznej dyscyplinie pracy. I czy rzeczywiście mogła z całym zaufaniem i spokojem zostawiać dziecko w przedszkolu?

„Przedszkolne absurdy". Pod takim tytułem organizację przedszkoli zilustrował „Głos Nauczycielski" z 28 kwietnia br. Autor artykułu stwierdza, że zajęcia prowadzone w grupach liczących ponad 30 dzieci, mimo pedagogicznego przygotowania wychowawczyń, nie spełniają swojej roli. O prowadzeniu indywidualnej pracy nie może być w takiej sytuacji mowy. Przedszkola takie spełniają tylko funkcję przechowalni dzieci, a nie instytucji wychowawczej. Przedszkola dostosowano tylko do potrzeb matki, zaś dziecko odsunięto na plan drugi. Zdjęto z rodziców odpowiedzialność, pogłębiając kryzys rodziny. Dzieci niejednokrotnie zmuszane są czekać w przedszkolu 2-3 godziny po zakończeniu normalnych godzin — zanim zostaną odebrane przez matkę.

Jeśli chodzi o przedszkola na wsi, to zdaniem autora artykułu były one w minionym okresie narzędziem polityki gospodarczej, której celem było jak najszybsze uspółdzielnienie wsi.

Miejsce tworzenia przedszkoli ustalały czynniki odgórne. Wieś o zakładanie ich nie prosiła.

Przedszkola wiejskie wykazały stosunkowo niską frekwencję dzieci, co było przede wszystkim wynikiem wysokiej w stosunku do miasta opłaty za pobyt dziecka w przedszkolu. Usługi, jakie przedszkola dają matkom, są według ogólnej opinii kobiet wiejskich za małe w stosunku do wyznaczonych opłat. Wieś uważała wysyłanie dzieci do przedszkola za luksus, zaś wychowawczynie uskarżały się, że ich głównym zadaniem było sprowadzanie siłą dzieci do przedszkola i ściąganie opłat.



Ileż ciekawych nowych książek przynosi początek roku szkolnego...

Opłaty. Istniały trzy typy przedszkoli wiejskich: 1) wiejskie całkowicie, 2) wiejskie — typu miejskiego oraz 3) przedszkola w PGR (państwowych gospodarstwach rolnych). Państwo płaciło na wyżywienie dzieci dotacje, jednak wysokość tych dotacji była różna. Dotacja w tzw. przedszkolu wiejskim wynosiła 36 groszy dziennie od dziecka, podczas gdy w dwóch pozostałych typach dopłacano 7.81 zł. na dzień. Była to wyraźna różnica na korzyść matek pracujących w PGR, względnie w spółdzielniach produkcyjnych (kołchozach), z wyraźną niekorzyścią dla dzieci samotnie gospodarujących chłopów. Toteż zdarzały się wypadki, że sąsiadujący ze sobą — tylko przez miedzę — chłopi płacili dwie różne opłaty za dzieci. Rezultatem tej polityki, która zmierzała do tego, by opornego chłopa wciągnąć do kołchozu, był wyraźny upadek tego typu przedszkoli.

Do tego samego przedszkola uczęszczały dzieci od 3-6 lat oraz dzieci tzw. trudne. Wszystkie te obliczenia, tj. różnica w opłatach z jednej, i zbyt wielkie zmieszanie dzieci z drugiej stron, jak i to, że wychowawczyni musiała pilnować dzieci przez długie godziny, zanim odebrały je wracające z odległego pola matki, spowodowały ogólną niechęć wśród rodziców i obojętność i zautomatyzowanie pracy wychowawczyń.

Jeszcze jedną krytykę przyniosło „Życie Warszawy" z dnia 11 lipca br. Pod nagłówkiem „Polityka w dziecinnym pokoju" pisze Maria Paschalska:

> „Przedszkole to bardzo dziwna instytucja stworzona dla małych dzieci a służy wielkiej polityce." Autorka przypomina, że gdy po burzy październikowej rozlatywały się instytucje i organizacje, które zamiast służyć społeczeństwu obracały się przeciwko niemu, przedszkola wiejskie znalazły się w pierwszej linii uderzenia. Podzieliły one los kołchozów, zakładanych w ubiegłych latach siłą, wbrew potrzebom i przekonaniu danego środowiska. W samym tylko województwie szczecińskim przestało istnieć 50% przedszkoli, zaś w skali ogólnokrajowej 30% uległo spontanicznej likwidacji.

Paschalska mówi też o zróżniczkowanej dotacji płaconej przez państwo dla różnych typów przedszkoli wiejskich i domaga się dotacji jednolitej.

Dalszym dezyderatem, który wysuwa, jest wprowadzenie w przedszkolach jednilitego czasu pozostawania w nim dzieci. Ogół społeczeństwa domaga się pięciu godzin, podczas gdy — jak twierdzi Paschalska — rzekomą „zdobyczą" klasy robotniczej są dziś przedszkola 9-godzinne.

Od Paschalskiej dowiadujemy się atoli jeszcze więcej. Ujawniła ona, że np. w Łodzi istnieją tzw. przedszkola dwuzmianowe. Gdy np. prządka pracuje w nocy, wówczas dziecko maszeruje z nią na noc do przedszkola. Gdy kończy pracę przed północą, to musi budzić dziecko z głębokiego snu, by zabrać je do domu. W ten sposób małe dziecko zostaje wciągnięte do produkcji.

Sportowcy są ważniejsi. Autorka przypomina, że gdy polscy sportowcy wyjechali do Finlandii, to radio warszawskie martwiło się, czy białe noce nie popsują im kondycji. Ale to, że prządki w Łodzi budzą swoje dzieci w przedszkolach o samej północy, o tym jeszcze nikt nie wspomniał. Nie przejmują się też losem matki i dziecka związki zawodowe, mimo alarmów lekarzy i psychologów. Związki zawodowe — przeciwnie uważają przedszkola 9-cio a nawet 12-godzinne za całkowicie uzasadnione.

Trudno się nie zgodzić z autorami cytowanych artykułów, że szeroko reklamowane przedszkola nie były instytucjami wychowawczymi, a tylko narzędziem polityki gospodarczej, że stworzone dla małych dzieci służyły wielkiej polityce i że inna ich organizacja jest sprawą równie ważną i palącą jak reforma szkolnictwa. **A. Z.**

ZŁOTÓWKA

Wszyscy ruszali szczękami. Cały bar mleczny żuł. Szczękały naczynia. Rano ludzie śpieszyli się (jakby wszystko, na co mogli liczyć, miało być wypłacone im za godzinę).

Od stolika do stolika przepływał, (wraz z szurgotem oberwanych trzewików) monotonny szept prośby: „Proszę państwa, co łaska". Okuta chustami kobiecina również ruszała szczękami. Przeżuwała wciąż te same słowa: „co łaska" i „Bóg zapłać".

Podeszła do narożnego stoliczka. Nie ogolony mężczyzna żuł bułkę. Na marmurowym blacie stolika obok jajecznicy leżała czapka.

— Proszę państwa, co łaska...

Nie przerywając jedzenia sięgnął do kieszeni. Gdy niósł w palcach monetę — bezzębne usta kobieciny przeżuwały już kolejne zdanie.

— Bóg zapłać, panie...

Jej ręka z zakrzywionymi palcami wznosiła się już do wysokości blatu. Brzęknęła moneta, zakręciła się. Między jedną a drugą łyżeczką jajecznicy ofiarodawca powiedział:

— Boga nie ma, babciu. (Było to spokojnie sformułowane stwierdzenie).

Palce jej sięgały blatu, (moneta leżała tuż, tuż). Jeszcze centymetr. Nagle ręka opadła. Kobiecina cofnęła się w popłochu. Przeżegnała się. Człowiek nie podniósł nawet oczu znad jajecznicy.

Niektórzy (nie przestając żuć) przyglądali się tej scenie. Ale nie było widać, co myślą.

Człowiek zabrał ze stołu czapkę i wyszedł. Babcia patrzyła za nim, poruszając ustami jak w litanii.

Na stoliku, na marmurowym blacie został błyszczący krążek. Z orłem na jednej i reszką na drugiej stronie. **Andrzej Mularczyk**

(„Dookoła Świata", nr. 31)

NIEMIEC O POWSTANIU WARSZAWSKIM

Hamburska „Die Welt”, największy dziennik zachodnio-niemiecki, zamieściła w swym numerze z dnia 24 sierpnia całostronicowy artykuł o Powstaniu Warszawskim pt. „Sześćdziesiąt trzy dni Warszawy”, pióra swego korespondenta Ludwika Zimmerera. W komentarzu wstępnym redakcja, zaznaczając, że po raz pierwszy od trzynastu lat władze polskie pozwoliły na obchód rocznicy powstanie w Warszawie, stwierdza, iż artykuł daje na podstawie opowiadań ustnych i ogłoszonych drukiem wspomnień bojowników o wolność „obraz powstania Polski narodowej i chrześcijańskiej przeciw totalizmowi”.

Autor, na ogół dobrze poinformowany, opisuje najpierw genezę i tło powstania, później zaś jego przebieg, charakteryzując stanowisko okupantów hitlerowskich i Sowietów oraz wpływ, jaki to miało na zachowanie się Polaków.

Próba zniszczenia narodu polskiego. „Polityka narodowo-socjalistyczna, która uważała Polaków za lichy i mało wartościowy naród, ale obszary polskie za idealny teren do osadnictwa niemieckiego — pisze Zimmerer — wprowadzana była w czyn w czasie okupacji z okrutną konsekwencją. Polityka Hitlera i Himmlera miała na celu uzgodnić rzeczywistość z ideologią, to znaczy zamienić cały naród w rezerwuar niesamodzielnych i niewykształconych niewolników pracy. W praktyce oznaczało to systematyczne dziesiątkowanie inteligencji polskiej.

„W wyniku operacji wojennych poniosło śmierć około 120.000 żołnierzy i 520.000 osób cywilnych. Ponad 5 milionów Polaków — w tym około 3 miliony Żydów — zginęło w obozach śmierci i karnych. Ogólne przeto straty narodu polskiego między rokiem 1939 a 1945 szacować można na okrągłe 6 milionów.

„Walka narodowo-socjalistyczna przeciw narodowi polskiemu miała charakter totalny. Także opór musiał być w tych warunkach nieubłagany i totalny” — stwierdza autor i charakteryzuje następnie formy tego oporu, poświęcając dużo miejsca Armii Krajowej.

O wybuchu powstania pisze, że było ono nie przygotowane i określa decyzje, powzięte w krytycznych dniach końca lipca 1944, jako zbyt pośpieszne. Równocześnie jednak Zimmerer wylicza też lojalnie argumenty zwolenników tezy, że powstanie w istniejących warunkach było koniecznością. Przytacza też wezwania radiostacji sowieckiej, nawołujące ludność Warszawy do natychmiastowego powstania przeciw okupantom niemieckim i zapowiadające bliskie nadejście armii czerwonej.

Himmler chciał zrównać Warszawę z ziemią. Po wybuchu powstania — stwierdza autor — Himmler udał się do Poznania, by stamtąd podjąć zarządzenia, skierowane przeciw powstańcom. „Wysyła on do Warszawy większe jednostki policji, złożoną z Rosjan brygadę SS Kamińskiego, oraz tzw. Turk-Legion SS. Od dnia 5 sierpnia walką przeciw powstańcom kieruje Obergruppenführer SS v. d. Bach-Zelewski. Później podczas procesu norymberskiego zeznał on, że Himmler rozkazał z naciskiem, by nie b[illegible] żadnych jeńców i zabijać także osoby cywilne: Warszawa miała być zrównana z ziemią, by stworzyć „odstraszający przykład dla całej Europy”. V. d. Bach-Zelewski podczas pierwszego etapu walk trzymał się ściśle tego rozkazu. Tak więc dzielnica Wola po jej zdobyciu przez wojska SS została spalona, a przypuszczalnie około 40.000 osób cywilnych albo zginęło w płonących domach, albo zostało zastrzelonych.

„To barbarzyńskie postępowanie — czytamy dalej — miało ten skutek, że powstańcy prowadzili walkę, nie mającą już żadnych szans militarnych, do samego końca — i przypuszczalnie odpowiadało to też początkowo zamysłom Himmlera, pragnął on bowiem totalnego zniszczenia miasta. Dopiero po kilku tygodniach dopuszczono po raz pierwszy ewakuację starych i ułomnych osób cywilnych. Rozpaczliwa walka trwała dalej i także strona niemiecka ponosiła niespodziewanie duże straty. Wtedy ostatecznie uznano powstańców za żołnierzy regularnych, a ci, którzy dożyli, traktowani byli po kapitulacji w dniu 2 października jako jeńcy wojenni”.

Stanowisko Sowietów. W ciągu powstania — stwierdza korespondent — wzrosło w Warszawie także rozgoryczenie przeciw Sowietom. Powstanie — zdaniem Zimmerera — było militarnie skierowane przeciw narodowo-socjalistycznym Niemcom, politycznie wszakże przeciw zaakceptowanym już tymczasem przez Roosevelta zamiarom kierownictwa sowieckiego, by wciągnąć Polskę do swej sfery wpływów. Zimmerer przytacza następnie opinię dzisiejszego generała Kirchmayera, wedle której dowództwo sowieckie nie miało wcale zamiaru w swej ofensywie lipcowej kłaść głównej wagi na rejon Warszawy. Stwierdza dalej, że pomoc sowiecka w połowie września składała się zaledwie z dwóch batalionów należących do armii gen. Berlinga. Kiedy zaś Churchill wystąpił z prośbą, by pozwolono samolotom alianckim, śpieszącym z pomocą Warszawie, na tymczasowe lądowanie za linią frontu sowieckiego, Sowiety odmówiły.

Cała „pomoc” sowiecka — wedle opinii wielu Polaków — miała charakter fikcyjny.

Bohaterstwo powstańców. Ostatnia część artykułu utrzymana jest w tonie gorącego podziwu dla niezłomnego męstwa i poświęcenia całej walczącej Warszawy. „Jest nam może szczególnie ciężko — pisze autor — zrozumieć to powstanie, gdyż doświadczenie historyczne naszego narodu nie zna niczego podobnego.” Byłoby błędem uważać je za akt rozpaczy całego miasta, gdyż w tej otchłani śmierci kwitło też życie. Zimmerer przytacza tu szereg przykładów tego życia: między innymi ukazywanie się w powstańczej Warszawie paru tuzinów czasopism.

Na zakończenie czytamy o wydanych właśnie wspomnieniach żołnierzy batalionu Armii Krajowej „Zośka”, złożonego wyłącznie z członków ruchu harcerskiego. „Ze wspomnień tych — czytamy — przemawia, poświadczone też przez wiele innych sprawozdań, bohaterstwo tych młodych i, bardziej jeszcze niespodziewanie fakt, że ich duch harcerski, ich patriotyzm, ich gotowość do czynu przetrzymała morderczą próbę 63 dni bez załamania się. Ta polska młodzież przetrwała wojnę nie uroniwszy nic ze swych przedwojennych ideałów — ideałów, które prawie całkowicie pokrywają się z ideałami powstańców polskich z lat 1831 i 1853.”

Gomułka — notuje w końcu Zimmerer — nie wziął udziału w obchodzie rocznicy powstania i milczał. Mimo października nie znaleziony został do tej pory wspólny język w tej dziedzinie.

Artykuł ilustrowany jest podobizną gen. Bora-Komorowskiego, zdjęciem jednej z barykad powstańczych i inną fotografią, przedstawiającą rozdawanie żywności na ulicach Warszawy przez zakonnice.

ŻYCIE KATOLICKIE

Z UROCZYSTOŚCI POŚWIĘCONYCH ŚW. JACKOWI

W obecnym roku 15 sierpnia minęło 700 lat od śmierci św. Jacka. (Także św. Stanisław Kostka odszedł do Nieba 15 sierpnia, w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.) W związku z tą rocznicą ks. arcybiskup Gawlina wydał swe orędzie wielkopostne, datowane z Rzymu 1 stycznia 1957, drukowane w „Duszpasterzu Polskim Zagranicą” w numerze na kwiecień-czerwiec 1957, zamieszczone w ŻYCIU w numerze 14/511 z dnia 7. 4. 54. Rocznicy świętojackowej Papież poświęcił swój list z 1 sierpnia 1957 do generała dominikanów o. Michała Browne, omówiony w ŻYCIU w numerze na 1 września. Z obcych wypowiedzi z okazji tej rocznicy szerzej mówi o św. Jacku kwartalnik „Die Ewige Weisheit”, organ dominikanów, wychodzący we Fryburgu. Kwartalnik ten w numerze na lipiec-wrzesień 1957 poświęcił omówieniu działalności św. Jacka 16 stron artykułów ilustrowanych: „Św. Jacek”, „Posłanictwo św. Jacka”, „Święty Jacek czciciel i apostoł Panny Maryi”. Numer przynosi ponadto tłumaczenie hymnu na pierwsze nieszpory uroczystości św. Jacka, opis kościoła dominikańskiego Trójcy Przenajświętszej w Krakowie, antyfonę „Ave florum” w tekście łacińskim i w tłumaczeniu i okolicznościowy wiersz: „Maryja mówi do Jacka”. Ilustracje podają: ukazanie się Matki Boskiej św. Jackowi (2 ilustracje), ucieczkę św. Jacka z Najświętszym Sakramentem i figurą Matki Boskiej (5 ilustracyj), cudowną figurę Matki Boskiej czczoną przez św. Jacka, ponadto fotografie kościoła dominikanów w Krakowie: z zewnątrz, wewnątrz, kaplicę św. Jacka, procesję dominikańs zakonników w tymże kościele ze śpiewem „Salve Regina” i odśpiewanie po procesji w kaplicy św. Jacka antyfony „Ave florum”, relikwiarz z głową Świętego i drugi z ręką Świętego, obydwa w tymże kościele przechowywane.



Błogosławieństwo relikwiarzem z głową św. Jacka

Uroczystości polskie ku uczczeniu św. Jacka rozpoczęły się w Rzymie w kościele Santa Maria sopra Minerva w niedzielę 2 czerwca w godzinach popołudniowych. Mszę św. celebrował ks. biskup Klepacz, kazanie wygłosił ks. arcybiskup Gawlina, a ks. kardynał Wyszyński w asyście ks. Franciszka Mączyńskiego i ks. Bolesława Wyszyńskiego odprawił nabożeństwo Eucharystyczne. Ks. arcybiskup Gawlina w kazaniu swym podkreślił, że uroczystości świętojackowe rozpoczynamy w dniu 2 czerwca, kiedy to Kościół obchodzi pamiątkę śmierci męczeńskiej błog. Sadoka i 48 Męczenników, dominikanów, zamordowanych przez Tatarów w trzy lata po śmierci św. Jacka.

Główne uroczystości świętojackowe odbyły się w Krakowie słynącym z relikwii tego wielkiego apostoła Polski, Niemiec, Prus i Rusi. Krakowskie uroczystości poprzedziła 9-dniowa nowenna, w wigilię święta Sumę celebrował generał dominikanów o. Michał Browne, wieczorną Mszę św. pontyfikalną ks. arcybiskup Baziak. W samą uroczystość ks. kardynał Wyszyński celebrował Sumę, poprowadził z kościoła dominikańskiego na Wawel i z powrotem procesję z relikwiami głowy św. Jacka, którą błogosławił tłumy wiernych. Po procesji Mszę św. pontyfikalną celebrował ks. arcybiskup Baraniak, a kazanie wygłosił ks. kardynał Wyszyński. Msza św. i kazanie były transmitowane przez megafony umieszczone na zewnątrz kościoła, by umożliwić uczestniczenie w uroczystości tym, którzy w kościele zmieścić się nie mogli.

We Mszy św. na dzień św. Jacka czytamy słowa wypowiedziane przez Matkę Boską do św. Jacka: „Raduj się, synu Jacku, bo Syn mój wysłuchuje prośby twoje: o co postanowisz prosić, to osiągniesz za moim pośrednictwem”. A Kościół stosuje do św. Jacka w tejże Mszy św. słowa Pieśni nad Pieśniami: „Miły mój biały i rumiany; ręce jego toczone, pełne hiacyntów”. Po łacinie św. Jacek nazywa się Hyacinthus.

*

ŚWIĘTO MATKI BOSKIEJ CZĘSTOCHOWSKIEJ

Ustanowione przez św. Piusa X na dzień 26 sierpnia święto Matki Boskiej Częstochowskiej sprowadza co rok do Częstochowy wielkie rzesze pielgrzymów, przy czym coraz więcej osób garnie się w latach ostatnich do stóp Jasnogórskiej Pani. W tym roku, mimo, że święto wypadło w poniedziałek, a więc w dniu pracy, przybyło około milion osób, toteż procesja z wzniesionym ponad tymi tłumami cudownym obrazem wyglądała imponująco. Obraz Świętej Orędowniczki Częstochowskiej był niesiony na przemian: przez Prymasa, Polski, biskupów i księży. Uroczystą Mszę św. odprawił arcybiskup Baraniak, kazanie wygłosił biskup Klepacz. Kardynał Wyszyński przemawiał w czasie uroczystości do licznie zebranych księży. „Sytuacja Kościoła w Polsce jest bardzo trudna — zaznaczył m. in. Prymas — o tym nie należy zapominać. Duchowieństwo polskie nie obawia się więzień lub tajnej policji. Odwaga chrześcijańska — to rzecz najważniejsza w naszym Kościele. Dla księdza ołtarze znajdują się nie tylko w kościołach,



Figura św. Jacka w kaplicy poświęconej błog. Czesławowi w kościele dominikańskim św. Wojciecha we Wrocławiu

ale także w więzieniach...” „Naród polski jest zagrożony materialistycznym światopoglądem, ale wyszedł zwycięsko z tej ideologicznej walki. Przykładem tego może b[illegible] młodzież polska, która odwróciła się od doktryny materialistycznej, odrzucając ją jako puste słowo...” „...Nie istnieje żadna »moralność socjalistyczna«...” I dalej: „Podczas rozmowy z Papieżem oświadczyłem z całym przekonaniem, że w moim przekonaniu księża polscy, którzy ulegli pseudo-postępowości, nie podlegają zarzutowi apostazji lub zdrady...” „...Ludzkość potrzebuje miłości. Wszelkie kłamstwa polityczne nie robią na nas wrażenia. Miłość jest ponad wszystkim. Ktokolwiek głosi miłość, pójdziemy w jego ślady...”

»OSSERVATORE ROMANO«

Środa 14 sierpnia: medal papieski wybity na pamiątkę ogromnej pielgrzymki chrześcijańskiej młodzieży robotniczej (J. O. C.): na stronie głównej jest popiersie Papieża z napisem „Christianae Iuventuti Operariae Romam Peregrinatae” (Chrześcijańskiej Młodzieży Robotniczej przybyłej do Rzymu na pielgrzymkę), na odwrotnej stronie Plac św. Piotra wraz z Bazyliką i tłumem młodzieży wypełniającej plac, napis: „In omni opere bono fructificantes: XXV Aug. MCMLVII” (W każdym uczynku dobrym owoc przynosząc: 25 sierpnia 1957).

Czwartek 15 sierpnia: artykuł „W święto Wziętej do Nieba”.

NAUKA I TECHNIKA

PIERWIASTEK Nr. 102

Napisał TADEUSZ FELSZTYN

Już od 150 lat, od czasów Daltona, wiemy, że wszystkie ciała na ziemi, mimo całej ich różnorodności, składają się ze stosunkowo niewielkiej ilości pierwiastków, ciał, których przy pomocy metod chemicznych dalej już rozłożyć nie można. Za czasów Daltona nie wiedziano jeszcze, ile takich pierwiastków istnieje na ziemi. Dopiero w 1871 roku, gdy Mendelejew ogłosił swą periodyczną tablicę pierwiastków (był to jeden z rzeczywistych wkładów rosyjskich do rozwoju nauki) ilość pierwiastków na ziemi ustalono na 92. I jakkolwiek za czasów Mendelejewa wiele jeszcze pierwiastków nie zostało odkrytych (nawet w 1925 roku, gdy periodyczna tablica pierwiastków była już nieomal całkowicie wypełniona, znajdowały się w niej wciąż jeszcze cztery puste miejsca, które udało się wypełnić dopiero niedawno, gdy pierwiastki te otrzymano jako produkty stosów atomowych), liczba 92 nie mogła ulegać wątpliwości.

Dlaczego jednak 92, a nie więcej? Częściową odpowiedź na to pytanie — po odkryciu promieniotwórczości przez Marię Curie-Skłodowską — dał fakt, że wszystkie pierwiastki od nr. 83 począwszy są pierwiastkami niestałymi, rozpadającymi się promieniotwórczo. Gdyby więc nawet na początku ziemi istniały pierwiastki cięższe od nr. 92, uranu, ich okresy półrozpadu byłyby tak krótkie, że żaden ich ślad nie zachowałby się aż do naszych dni. To przypuszczenie zostało istotnie potwierdzone w latach czterdziestych obecnego stulecia, gdy pierwszy sztucznie wyprodukowany pierwiastek cięższy od uranu (tzw. pierwiastek pozauranowy), pluton, wykazał okres półrozpadu rzędu tysięcy lat. Jest to okres dostatecznie długi, aby dla naszych potrzeb praktycznych (stosy atomowe, czy też bomba atomowa) był on materiałem pozornie trwałym, dostatecznie krótkim jednak, aby w ciągu pięciu miliardów lat istnienia ziemi nie pozostały na niej żadne ślady plutonu. A że, jak sądzono na podstawie teorii, im wyższy numer pierwiastka, tym jego okres półrozpadu musi być stosunkowo krótszy, jasne jest więc, że żaden pierwiastek o wyższym numerze niż uran, nie mógł się ostać na ziemi.

Jak daleko jednak sięgać może budowa pierwiastków z elementarnych cegiełek protonów i neutronów? — Kiedy stanie się ona tak nietrwała, że samo słowo „istnienie" przestanie mieć tu sens?

Na te pytania nie mamy dotąd odpowiedzi. Choć coraz więcej wiemy, choć coraz lepiej rozumiemy wewnętrzną budowę atomu, nie mamy dotąd żadnej teorii, która by tę budowę w pełni wyjaśniła, a tym samym pozwalała przewidywać, co się stanie, gdy x protonów i y neutronów złączymy w jądro atomowe. Z tego co dotąd wiemy, nie ulega wątpliwości, że w jądrze atomu składniki jego, choć mieszczą się bardzo gęsto, znajdują się jak gdyby w nieustannym ruchu mają więc bardzo dużą energię wewnętrzną. Co więcej, między nimi istnieją siły zarówno przyciągania, jak i odpychania. Siły przyciągania działają jedynie na bardzo bliskie odległości, rzędu dwu bilionowych części milimetra. Jest to odległość bardzo mała, tak mała, że gdyby powiększyć ją do dwu milimetrów, linijka 15 centymetrowa (6 cali) równałaby się odległości od ziemi do słońca. Ponieważ zaś średnica jądra atomu jest pięć do dziesięciokrotnie większa od tej odległości, więc w praktyce siły przyciągania działają jedynie między najbliższymi sobie składnikami jądra atomu, często obejmowanymi wspólną nazwą nukleonów.

Ponadto jednak istnieją wewnątrz jądra i siły odpychania. Zawarte mianowicie w jądrze atomu protony mają ładunek elektryczny dodatni, a więc odpychają się nawzajem. Te siły wzajemnego przyciągania i odpychania wewnątrz jądra powodują, że kształt jego musi być taki, aby jego wewnętrzna energia była możliwie jak najmniejsza. W zależności więc od wzajemnej ilości protonów i neutronów, jądro jest albo kuliste, albo też wydłużone. Jeśli ilość protonów lub też neutronów staje się za duża, równowaga jądra jest chwiejna i jądro pozbywa się swego nadmiaru energii przy pomocy rozkładu promieniotwórczego.

Z chwilą, gdy ilość protonów w jądrze przekroczy 82 (a numer atomu to po prostu ilość protonów w jego jądrze), niemożliwa jest już taka konfiguracja nukleonów w jądrze, która by mogła zapewnić stałość jądra. Wzajemne odpychanie się protonów jest bowiem tym ładunkiem dynamitu, który dąży do rozsadzenia jądra atomu. Nie dziw więc, że wszystkie pierwiastki o numerze ponad 82 (a więc o ilości protonów większej niż 82) muszą być promieniotwórcze i że ta tendencja do rozpadu wzrasta w miarę jak rośnie ilość protonów, a więc i numer pierwiastka.

Ale właśnie dlatego pierwiastki o wyższym numerze stanowią wdzięczne pole do studiowania praw rządzących budową wnętrza atomu. Nie dziw więc, że fizycy atomowi zaczęli sztucznie tworzyć coraz to wyższe pierwiastki pozauranowe. Do dni ostatnich najwyższym z nich był pierwiastek numer 101, zwany mendelewem.

Dotychczasowa technika tworzenia tych nowych pierwiastków polegała na tym, że pierwszy z względnie trwałych pierwiastków, pluton, bombardowano neutronami, deutrami (jądrami ciężkiego wodoru) i cząsteczkami alfa (jądrami helu o dużej energii). Takie bombardowanie powiększało numer atomu o jeden lub najwyżej dwa. Aby więc osiągnąć pierwiastki o wyższych numerach, należało iść stopniami, z których każdy powiększał numer poprzedniego pierwiastka.

I tu właśnie tkwi cała trudność tego procesu. Im wyższy numer, tym pierwiastek jest silniej promieniotwórczy, tym krótszy jest czas jego życia, tym więc mniej szans, by jądro nie rozpadło się samo zanim bombardująca cząsteczka zdąży w nie trafić.

I do tego dochodzi trudność druga. Gdy ilość protonów w jądrze jest duża, jądro przybiera kształt tak wydłużony, że zwęża się w środku i stosunkowo łatwo może pęknąć w pasie, rozszczepiając się na dwie części. To właśnie zachodzi w jądrze uranu w stosie lub bombie atomowej. Otóż, jak pierwszy stwierdził to polski fizyk (choć pracujący w Rosji Sowieckiej) Pietrzak, takie rozszczepienie może zajść w uranie i samorzutnie, choć stosunkowo rzadko. Im wyższa liczba atomowa, tym to samorzutne rozszczepienie zachodzi częściej, co znów pomniejsza czas życia atomów o wyższej liczbie atomowej.

Z obu tych względów przekroczenie liczby 101 okazało się dotąd niewykonalne. Aby je uskutecznić, należałoby wziąć, jako punkt wyjściowy, jakiś pierwiastek pozauranowy o bardzo stosunkowo długim okresie półrozpadu i bombardować go jądrami atomów tak ciężkimi, aby od razu skoczyć o wielką liczbę protonów naprzód.

Na tym właśnie polegała synteza atomu 102. Dokonała go grupa uczonych amerykańskich, angielskich i szwedzkich (Amerykanie Fields i Friedman, Anglik Milsted i Szwed Holm) w Instytucie Nobla w Sztokholmie, którego cyklotron najlepiej nadawał się do tego celu. Cyklotron ten zbudowany został, aby przyspieszyć deutry, jądra ciężkiego wodoru, w których stosunek masy do ładunku wynosi 2:1. Jak jednak obliczono, mógłby on również przyspieszać takie jądra, których stosunek masy do ładunku wynosi 13:6, gdzie więc na sześć protonów jest siedem neutronów. Jest to dość rzadki izotop węgla, zwany węglem 13.

Ażeby uzyskać pierwiastek 102, należało jako materiał wyjściowy, bombardowany szybkimi jądrami węgla 13, wziąć pierwiastek o 6 numerów niższy, a więc kyr (curium), pierwiastek nr 96. Z kilku jego izotopów wybrano kyr 244 (tj. mający 244 nukleonów w swym jądrze). Jest to pierwiastek promieniotwórczy, jego okres półrozpadu nie jest jednak tak krótki, aby stanowiło to przeszkodę. Pierwiastek ten poddano więc bombardowaniu owymi przyspieszonymi jądrami węgla 13; rezultat potwierdził oczekiwanie: otrzymano pierwiastek nr 102, o masie — jak się przypuszcza — 253.

Nie dość jednak wytworzyć nowy pierwiastek, trzeba jeszcze mieć pewność, że jest to naprawdę pierwiastek, o który chodzi. I tu zachodzi poważna trudność. Ilość wytworzonych atomów w jednym doświadczeniu wynosi zaledwo około 50. Jest to stanowczo ilość za mała, aby móc z nią przeprowadzić jakiekolwiek doświadczenia normalnej chemii, a do tego jest to pierwiastek tak silnie promieniotwórczy, że po upływie 10 do 11 minut zostaje z niego tylko połowa. Trzeba więc było wynaleźć metody badawcze, dostosowane do tych nienormalnych warunków.

Aby nowy pierwiastek zidentyfikować, użyto dwu kryteriów, niejako dwu odcisków palca. Jednym są właśnie własności promieniotwórcze pierwiastka nr 102. Jak wynika z teorii, ten nowy pierwiastek powinien przy samorzutnym rozpadzie wydzielać cząsteczki alfa o energii 8.5 milionów elektronwoltów. Żaden inny ze znanych pierwiastków nie rozpada się w taki sam sposób. Jeśli więc przyrząd mierzący energię cząsteczek alfa wykaże tę energię, można mieć poważne podstawy do sądzenia, że uzyskany pierwiastek jest właśnie pierwiastkiem nr 102 o masie 253.

To samo jeszcze nie wystarcza: trzeba się również upewnić, że ten nowy pierwiaste ma własności chemiczne, odpowiadające w tablicy Mendelejewa pierwiastkowi numer 102. Oczywiście ani czas, ani tak minimalne ilości utworzonego pierwiastka nie pozwalają na normalne metody chemiczne. Trzeba tu stosować metody najnowocześniejsze, tzw. wymiany jonowej. Wszystko to jed[illegible] musi się odbywać w stosunkowo kr[illegible] czasie. Doświadczenie było więc nie tylko rekordem naukowym, ale i sportowym. Niecały miligram kyru umieszczono w cienkim filmie pomiędzy dwoma płytkami glinowymi (aluminiowymi) tak cienkimi jak najdelikatniejszy papier srebrny. Wytworzone w tym filmie w czasie doświadczenia atomy 102 wylatywały poza glin i osadzały się w plastycznym filmie, przymocowanym do niego.

Tak złożoną płytkę poddawano bombardowaniu atomami węgla 13 przez około 20 minut. Z chwilą ukończenia bombardowania grupa uczonych, w ubraniach chroniących

przed promieniowaniem, natychmiast wchodziła do odgrodzonego betonem pomieszczenia, tam uczeni wyjmowali płytkę i oddawali ją najszybszemu biegaczowi zespołu, Szwedowi Holmowi. Ten przebywał biegiem przestrzeń stu jardów, dzielącą cyklotron od elewatora przyrządu badawczego. Tam film plastyczny, po spaleniu, rozpuszczał się w kwasie chlorowodorowym. Roztwór ten samoczynnie przechodził poprzez odpowiednie kolumny aparatu wymiany jonów i po pewnym czasie w przewidzianej teorią kolumnie pojawiły się cząsteczki alfa o energii 8.5 milionów elektronwoltów: dowód, że nowy pierwiastek wszedł do tej kolumny. Po kilku powtórkach, całość operacji udoskonalono w ten sposób, że od chwili przerwania bombardowania filmu do jego włożenia do aparatu badawczego nie upływało więcej czasu niż półtora minuty, a rozpuszczenie filmu i przepływ roztworu nie zajmowały więcej czasu niż niecałych 10 minut, tak że w kolumnie zostawała jeszcze połowa nowowytworzonych atomów.

Fizycy atomowi obiecują sobie wiele po nowym pierwiastku. W szczególności, gdy wytworzy się go więcej, zamierzają oni zbadać jego czas samorozszczepienia. Od jego wielkości bowiem zależy, czy możliwe będą izotopy tego samego pierwiastka, może o dłuższym okresie życia i czy można będzie myśleć o sztucznym tworzeniu pierwiastków o jeszcze wyższym numerze.

Po co to wszystko? — można by się zapytać. — Jaki cel przyświeca tym badaniom? Zapytany o to przez reportera amerykańskiego, skromnie odpowiedział Fields: „niektórzy ludzie uważają odkrycie nowego pierwiastka za rzecz dużej wagi". I słusznie. Każdy bowiem nowy pierwiastek pogłębia naszą znajomość tajników przyrody. A poznanie tych tajników, poza niewątpliwą radością, jaką daje człowiekowi zdobywanie coraz to nowych prawd, zawsze poprzedza władanie siłami przyrody ku pożytkowi ludzkości.

Tadeusz Felsztyn

NOTATNIK PODRÓŻNY (I)

MIECZYSŁAW PASZKIEWICZ

Londyn — Southend, 13 sierpnia.

Życie wielkomiejskie oddaje człowieka we wszechwładzę cywilizacji. Nie zauważamy tego, potulnie nosząc wygodnie więzy. Deszcz i wiatr mało wpływają na bieg wypadków: jeździmy do pracy kolejką podziemną, nie widząc nawet chmur ani słońca, odwiedzamy znajomych albo chodzimy do teatru mimo wichury, posuchy czy dalekiego burzliwego morza. Ale w posłusznym rabie cywilizacji budzi się nagle dawna ludzka czujność i przezorność, gdy przerzuca nogę przez spiętrzone w tyle motocykla bagaże i sadowi się możliwie najwygodniej na siodełku, aby przesiedzieć — któż wie? — sześć, siedem, może dziewięć tysięcy kilometrów. Wraca odwieczny lęk przed siłami przyrody, budzi się dawno wygasła mitologia żywiołów.

✱

Wczesny, w miarę chłodny ranek sobotni. Jurek — wierny towarzysz naszych wypraw — którego złośliwy bieg wypadków zatrzymuje tego roku w Anglii, wychyla się zaspany z okna. Przypomina, by w drodze powrotnej załatwić jego sprawunki w przygranicznej hiszpańskiej rozlewni alkoholów. Oddaję mu pożegnalne skinienie ręki, ale oczy śledzą już niespokojnie niebo. Z kierunku wiatru i kształtu chmur staram się odgadnąć przebieg dnia. Janusz prowadzi motor pewnie i szybko po nudnej, pustej drodze do Southend — na lotnisko. Starym zwyczajem bazgrzę w zielonym notesie pierwsze zdania notatek podróżnych. Kipi już we mnie potencjał bliskich wzruszeń, radości, gniewu. Ale myśl skrzętnie wraca do praktycznych drobiazgów: czy nie zapomnieliśmy światełka do namiotu? Czy pasy trzymają mocno bagaż? Czy krem przeciw słonecznemu oparzeniu jest w neseserze bezpieczny? Ciekawość miesza się ze wzruszeniem i odrobiną lęku: kogo z bliskich mi zastanę na rue Jacob, na rue Notre-Dame des Champes?

Zielony notes szeleści dziewiczo białymi kartkami, motor pracuje równo, sprawnie Za miesiąc kartki zabazgrane będą po brzegi notatkami, wierszami, adresami nowych znajomych, a motor... Któż odgadnie kaprysy jego mechanicznego żywota?

Millau — Lodève, 16 sierpnia.

Masyw centralny jest piękny i zmurszały, jak sama Francja. Na ruinach groźnego niegdyś krajobrazu próchniejące skały dostarczają w bród pożywnego pokarmu szczupłej, młodej zieleni. Niechże optymiści i miłośnicy analogii wyciągają wnioski i przedłużają wątek porównania. Mnie wystarczy słońce i wiatr przetykany skałami oraz zwaliska średniowiecznych zamków. Czasem szklanka czerwonego wina, czasem papieros z ciemnego tytoniu; krótkie przerwy w jeździe — tyle właśnie, ile trzeba, aby rozprostować obolałe kości (aby nie nazywać rzeczy po imieniu) odwykłe przez jedenaście miesięcy od słodkich niewygód włóczęgi.

Besalu — San Feliu de Pallarols, 17 sierpnia.

Rzeka, wzdłuż której jedziemy, nazywa się Fluvia — pięknie i statecznie jak rzymska matrona, jest jednak bystra i kręta, pełna dziewczęcego raczej uroku. Przejeżdżamy ją po romańskim moście z XI w., by zagłębić się w mały labirynt placyków, uliczek i zaułków zawikłanych wokół domostw i kościołów Besalu — tej do dziś średniowiecznej mieściny. Kościoły św. Wincentego, św. Piotra i N. M. Panny — wszystkie romańskie — są ciemne i ciche. Obrosło je miasteczko. Dziś nie można znaleźć miejsca skąd dałoby się podziwiać ich piękno w całej okazałości. Uśmiechają się do nas tylko fragmenty: ozdobny portal, czy głowica kolumny, na której wesołe harpie łączą się w czułym uścisku. Na rynku podcienia o płaskich łukach podparto romańskimi kolumnami (patrz zdjęcie). W kawiarni zauważamy z zadowoleniem, że plotki o wzrastających w Hiszpanii cenach są — przynajmniej odnośnie koniaku i kawy — bezpodstawne.

Na drodze do Olot, ciągle jadąc wzdłuż Fluvii mijamy Castellfullit de la Roca — dziwaczne miasteczko u czoła wydłużonej skały, podobnej do półzatopionego w zieleni kadłuba gigantycznego korabia. W San Feliu de Pallarols łapie nas deszcz, postanawiamy więc zatrzymać się tu na noc. Hotelik — raczej tzw. fonda — czysty, tani i ze smaczną kuchnią. Za oknami szumi wezbrany od gwałtowniejącego deszczu wodospad a we łbie dobre rosé podobne w smaku do langwedockiego, ale mocniejsze odeń.



Fragment krużganka w częściowo zrujnowanym klasztorze benedyktynów w pobliżu Manresy (str. 10)

Vich — Manresa, 18 sierpnia

Z Vich wyjeżdża się serpentynami. Piękny widok w dół przesłaniają nam nagle gęstniejące chmury. Robi się prawie ciemno. Obłoki zakrywają sąsiednie wzgórza, płyną niżej nas.

Przyśpieszamy, lada chwila oczekując ulewy. Wreszcie droga wyprostowuje się na powierzchni płaskowzgórza pozwalając rozwinąć większą szybkość. Na horyzoncie nieco rudego światła. I nagle chmury, jak ciężka kurtyna zaczynają się podnosić. Zjawisko zachodzi zdumiewająco nagle: jedziemy pod wiatr i jego szybkość dodaje się do naszej. W ciągu kilku minut leży u naszych stóp odsłonięta rozległa dolina zamknięta gdzieś w głębi liniami wzgórz. Kilka kolejnych horyzontów zachodzi za siebie wzmagając teatralność widoku: każde pasmo wzgórz wygląda jakby wycięte z tektury o różnych odcieniach granatowości. Ich płaska sylwetkowość przeczy wszelkim złudzeniom trójwymiarowości. Słońce zapada dokładnie w siodło między najwyższymi wzniesieniami — w miejsce,jakby umyślnie dlań przeznaczone przez nazbyt drobiazgowego reżysera.

Kolory dziwacznieją, nasycają się fantastycznym, jakby przełamanym światłem zachodu. Wszystko jest inne: zieleń lasów, złoto dojrzałych zbóż, garść rozrzuconych czerwono-białych klocków: miasteczko. Na nieboskłonie kilka zaledwie obłoków intensywnie barwnych zawieszonych nienaturalnie w seledynowo-różowej próżni.

Świat wygląda jakby po potopie, obmyty i nowy a nie bardzo świadomy zaszłej odmiany. Tylko rzeka wezbrana kilkudniowymi deszczami niesie wody mętne od górskich glin — na świadectwo niedawnej grozy.

Manresa, 19 sierpnia.

Do sztuki podróżowania należy niewątpliwie umiejętność znalezienia odpowiedniego noclegu. Hotel, pensjonat, zajazd, karczma — mogą być złe lub dobre, niezależnie od zewnętrznego wyglądu czy ceny. Wybór — gdy jest w czym wybierać — oraz sposób znalezienia rozsądnie taniego i ciekawego pomieszczenia w zatłoczonym turystami miasteczku — gdy się na takie wieczorem trafi, oto dwa podstawowe tej sztuki arkana. Można by tematowi temu poświęcić niejedną teoretyczną rozprawę i praktyczny podręcznik, notuję więc te parę luźnych uwag, bez pretensji do wyczerpywania go: tyle tylko, ile przypomniało mi się wczoraj wieczorem z doświadczenia lat ubiegłych.



W średniowiecznym miasteczku Besalu
(str. 9)

Najłatwiej oczywiście powiedzieć jak nie należy szukać noclegu. Wystarczy zatrzymać samochód lub motocykl na najbardziej reprezentacyjnym placu lub ulicy miasteczka (dla orientacji warto dodać, że będzie ona zapewne nosiła imię bądź szefa państwa Franciszka Franco, bądź bohatera narodowej Hiszpanii zamordowanego przez czerwonych — José Antonio Prima de Rivery) i zacząć rozglądać się bezradnie. Natychmiast opadnie przybysza stado usłużnych przewodników, którzy zaprowadzą do najdroższego hotelu, gdzie zanudzić się można na śmierć w towarzystwie międzynarodowych snobów, albo umrzeć z przejedzenia. Zresztą wszystkie przyjemności na żądanie: łamana francuszczyzna i angielszczyzna kelnerów, stare ilustrowane tygodniki z Londynu i Paryża. Nadęci Niemcy i bezczelni Francuzi z Maroka. Dowiesz się dokładnie co kto jadł przedwczoraj na kolację i jaka była pogoda w Hamburgu przed tygodniem. Jeśliś tych wieści nie ciekaw, lepiej zatrzymać pojazd w bocznej uliczce i wyruszyć w ruchliwe, gwarne zaułki. Wprędce trafi się na winiarnię, której wygląd wzbudzi zaufanie. W głębi uchylone drzwi prowadzą do zatłoczonej jadalni. Nie należy oczywiście obcesowo pytać o pokój. Zamawia się wino lub koniak i wszczyna rozmowę towarzyską. Dowiadujesz się, żeś dobrze trafił: jest jeszcze (właśnie „ostatni") wolny pokój. Oczywiście nie ma mowy o tym, aby odprowadzać motor do garażu: wstawi się go wieczorem (to jest po pierwszej w nocy) między opustoszałe stoliki. Można być pewnym smaku i mocy lokalnego wina, setki pytań, objaśnień, grzeczności. Wchłaniasz z apetytem proste potrawy i życie miasteczka, jakie jest: krzykliwe, na przemian wesołe i smutne, zawsze jędrne, soczyste, nie fałszowane konwenansem życie człowiecze.

Z rana wyjechaliśmy do odległego o osiem kilometrów od miasta dawnego klasztoru benedyktynów — dziś własności katalońskiego arystokraty mieszkającego zresztą w Barcelonie. Klasztor, założony w roku 930, do teraz — acz częściowo w ruinie, a może i dzięki temu — zachował cichy urok romańskich budowli — urok którego nie prześcignął wyniosły gotyk, zarozumiały renesans, gadatliwy, dynamiczny barok. Krużganki zarośniętego bujną zielenią podwórza oparte są na czystych łukach romańskich i typowych podwójnych kolumnach, których głowice zdumiewają różnorodnością tematów, kunsztem rzemiosła, mocą artystycznego wyrazu. Obok dekoracyjnych motywów roślinnych i scen biblijnych, wierna kronika życia średniowiecznego: polowania, wojny i modlitwa. Realia stroju i uzbrojenia pomieszane z mitologią, z bajką. Anonimowy artysta (czy artyści) czerpał równie chętnie ze swej wyobraźni skrzydlate lwy, co miecze, rogi i opończe z otaczającego go tłumu rycerzy, mnichów, pielgrzymów. Tłumaczył zgiełk i nieład świata na zrozumiały, jasny język sztuki utrwalony w kamieniu.

Opuszczamy z żalem gościnny chłód klasztoru, by zanurzyć się w upał i pył drogi. Oglądamy się raz jeszcze: przez czyste, kamienne formy architektoniczne wieży, która nawet w ruinie nie utraciła szlachetności i piękna, prześwieca niebo.

(Ciąg dalszy nastąpi)

CERAMIKA WANDY RUDZIŃSKIEJ-WYPYCHOWEJ

Napisała IRENA HUML

Ceramika stwarza duże możliwości artyście, który opanowując arkana wiedzy warsztatowej pragnie wypowiedzieć się pełniej w tej dyscyplinie. Wśród polskich ceramików działających na tym polu jeszcze w okresie międzywojennym i aż do chwili obecnej na uwagę zasługują prace Wandy Rudzińskiej-Wypychowej. Twórczość jej od strony tematycznej da się podzielić na szereg cyklów, w ramach których artystka ukazuje swoją wszechstronną skalę talentu rzeźbiarskiego, wyczucie barwy obok doskonałego opanowania rzemiosła.

W pierwszym rzędzie wyliczyć tu należy cykl związany z miastem, w którym artystka żyje i tworzy od wielu lat — cykl warszawski. Ta jej Warszawa odtwarzana w najbardziej charakterystycznych typach przechodniów miejskich nie należy jednak do współczesności. Stanowi ona obraz epoki Oświecenia, epoki którą tak po mistrzowsku ukazał w swoich płótnach Bernardo Belotto zwany Canalettem. (Obrazy jego zdobiące kiedyś Zamek Warszawski znane są angielskiej publiczności z tegorocznej wystawy w Londynie i Liverpoolu.) Cały bogaty sztafaż jego obrazów ożył nagle w barwnej ceramice. Mieszczki warszawskie obok szlachcianek, wytworne damy obok szlachciców w kontuszach czy odnoszących listy posłańców rojnie zapełniających niegdyś ulice miasta, żyją znów w pełnych wdzięku figurkach Wandy Rudzińskiej.

Prócz obrazów Belotta również twórczość Franciszka Kostrzewskiego, świetnego rysownika i karykaturzysty warszawskich typów, jest dla niej źródłem inspiracji stanowiąc jeszcze jeden bodziec twórczy przy powstawaniu tego cyklu.

Innym znów razem sięga Rudzińska po tematykę ludową tworząc cykle legend, obrzędów i bożków. Nawiązuje w nich do staropolskich a nieraz i starosłowiańskich tradycji żyjących do dziś w naszym kraju. Kolędnicy z gwiazdą, dziewczęta z gaikiem, pan Twardowski na kogucie, Światowid i inne tego typu tematy ubiera w nową formę plastyczną pełną własnej inwencji.

Pokrewną tematykę stanowią także przedstawienia tańców ludowych z różnych okolic Polski, czy też np. krakowski orszak weselny jadący drabiniastym wozem parokonnym.

Oprócz tańców ludowych poświęca artystka wiele uwagi wykonawcom skocznych lub tęsknych melodii — muzykantom. Spotykamy wśród nich szereg typów z różnych epok począwszy od renesansowych rybałtów w błazeńskich czapkach poprzez skrzypków w chłopskim odzieniu lub grajków z piszczałką przy ustach aż do zamaszystych harmonistów przygrywających do cwaniackiej ojry.







Twórczość Wandy Rudzińskiej nie ogranicza się jedynie do wspomnianych wyżej tematów, ciąży także wyraźnie w kierunku sztuki religijnej. Świątki stanowią już od dawna poważną pozycję w jej dorobku artystycznym. Jeszcze w latach trzydziestych organizuje ona wraz ze swymi kolegami i uczniami wystawę w Zachęcie zatytułowaną „Święci w sztuce polskiej", na której prace jej otrzymują zaszczytne wyróżnienia.

Całą tę gałąź twórczości, z punktu widzenia formy, da się podzielić zasadniczo na dwie grupy. Jedną z nich stanowią małe płasko rzeźbione plakietki, drugą zaś rzeźby pełne, także na ogół niewielkich rozmiarów, przedstawiające najczęściej Chrystusa Frasobliwego lub Madonnę, przeznaczone — podobnie jak poprzednie — na użytek domowy. Plakietki, w których artystka szuka coraz to nowych rozwiązań, stanowią bardzo ciekawy wycinek jej pracy. I tu, podobnie jak w całej działalności artystycznej Rudzińskiej dadzą się wyróżnić pewne cykle przedstawień, jak np. cudowne Madonny z często powracającym motywem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Te rzeźbiarskie trawestacje cudownych obrazów, delikatne w kolorze, cieszą się ogromną popularnością w Polsce. Wiele plakietek przedstawia również Świętych Pańskich. Zbliżone w swojej konwencji do sztuki Bizancjum, z dużą ilością złoceń, mają one zupełnie odrębny charakter od reszty twórczości. Nie przypominają ani wspomnianych wyżej Madonn, noszących wybitnie rodzime cechy, ani tym bardziej innych plakietek wzorowanych na starych przydrożnych kapliczkach wiejskich gęsto rozsianych po ziemi kieleckiej i rzeszowskiej. Wszystkie plakietki otrzymują podobną fakturę. Wypalone w surowej czerwonej glinie, z ciekawą brunatną patyną, ożywione zostają kolorem kładzionym po wierzchu. Ich modelunek, po wyjściu z formy, artystka uzupełnia rzeźbiąc partie twarzy, rąk i wygładzając szczegóły, dzięki czemu każda z prac zyskuje indywidualny charakter.

Podobnie powstają pełnoplastyczne figurki omawianych cyklów, choć faktura ich jest zupełnie różna. Każda z nich otrzymuje błyszczącą, gładką polewę w przeciwieństwie do chropowatej powierzchni płaskorzeźb. I o ile kolor kładziony na patynę jest nieraz dość surowy, to przy polewie stosuje artystka barwy pastelowe, w których dominują tony jasno zielone i żółte.

Kolor, na równi z bryłą, buduje całość kompozycji. Czasem stosowany jako rozbicie dużej płaszczyzny, to znów łączący różne elementy w całość, mówi o dobrej znajomości zasad tego kunsztu. Artystka ma również należyte wyczucie tektoniki bryły, co wraz z dużą dozą inwencji stanowi o poziomie artystycznym jej prac. Szukając wciąż nowych rozwiązań plastycznych, często w obrębie tych samych tematów, idzie ona stale naprzód. Eksperyment stanowi więc dla niej ciągłą podnietę do wysiłku twórczego.

Omówione tu pokrótce prace Wandy Rudzińskiej-Wypychowej nie wyczerpują całokształtu jej działalności w dziedzinie ceramiki. Dla uzupełnienia tego obrazu należy jeszcze wspomnieć o zainteresowaniach artystki tematyką zwierzęcą, wśród której młode psiaki i koty bardzo pogodne w swym wyrazie należą do najczęściej przedstawianych. Oprócz nich znaleźć można w tej glinianej menażerii misie, małe kaczuszki, kogutki itp. Wykonuje ona także i naczynia, głównie wazony, których polewy utrzymane są także w pastelowej gamie barw. Nic więc dziwnego, że ceramika ta pociąga swoją harmonią linii i barwy jak również prostotą tematu stanowiąc miłą dla oka ozdobę nowoczesnego wnętrza.

Irena Huml

NOWE WYDAWNICTWA

KSIĄŻKA GEN. S. SOSABOWSKIEGO

Powiedzmy od razu, że „Najkrótszą drogą" jest to wspaniała książka nie tylko dlatego, że jest dobrze napisana, ale głównie dzięki swej treści rozumnej i pociągającej, miejscami wprost fascynującej, a z wojskowego punktu widzenia niezwykle pouczającej. Dowódca opowiada nam, jak powziął tę w ówczesnych warunkach niemal utopijną ideę stworzenia polskiej brygady spadochronowej, następnie jak tę brygadę tworzył, szkolił i jak wreszcie poprowadził ją do boju. Mówi nam o troskach i kłopotach, z którymi musiał się parać i o trudnościach, które musiał pokonywać w dążeniu do realizacji swojej idei.

Autor jest subiektywny w swoich ocenach, jego wola panowała nie tylko w brygadzie, ale dominuje także na kartach tej książki. O sprawach i ludziach mówi zwięźle i dobitnie, stylem przecinającym wszelkie wątpliwości.

Znając siebie i swój styl, autor w słowie wstępnym prosi czytelników, by mu darowali, że jego „Ja" stale się przewija przez karty książki.

Możemy zapewnić autora, iż niepotrzebnie się niepokoi. Największą zaletą jego książki jest to, że otwarcie wypowiada się w niej jako dowódca. Być dobrym dowódcą nie jest to łatwa sprawa, ponieważ tego nie można się nauczyć. Sam autor to stwierdza w zdaniu, pod którym trudno się nie podpisać:

„Dowodzenie, szybkie orientowanie się w sytuacji i szybkie pobieranie właściwej decyzji, wzbudzanie zaufania podkomendnych i cały szereg cech, które charakteryzują dobrego dowódcę, jest w dużej mierze właściwością człowieka, jest darem Bożym, który ujawnia się i rozwija dopiero we właściwych warunkach i okolicznościach."

A jednak młody oficer, który ma ambicję zostania dobrym dowódcą, musi znaleźć jakąś pomoc i znajduje ją w obserwacji swych przełożonych i w studiowaniu takich książek jak ta, którą omawiamy. Tu znajdzie prawdziwą skarbnicę rad, wskazówek i różnych przykładów zachowania się, podanych przez tak doświadczonego i wytrawnego dowódcę, jakim jest gen. Sosabowski.

Rozdziały opisujące organizację, szkolenie i wychowanie brygady należą do najbardziej zajmujących i pouczających. Problemem głównym, który domagał się załatwienia, było pytanie, w jaki sposób pobudzić zainteresowanie podwładnych i wykrzesać z nich entuzjazm w pracy. Autor dowodził jedną z owych słynnych brygad kadrowych, złożonych prawie wyłącznie z oficerów, którzy w dwuznacznej roli oficerów-szeregowców, nie mając widoków na dowodzenie wobec braku uzupełnień, popadali w nudę i zniechęcenie. Już we wczesnym stadium istnienia swojej, tego typu, brygady autor postarał się o rozkaz wyznaczający ją jako kadrową dla brygady kanadyjskiej, której formowanie przewidziane było w ramach akcji werbunkowej w Kanadzie. Ta nowa idea podniosła ogromnie ducha w brygadzie, ale nie trwało to długo, bo na akcję werbunkową pojechał kto inny. Brygada musiała stać się z powrotem — zwykłą — oficerską brygadą kadrową. Był to cios istotny.

„Więc przebyć wojnę broniąc wybrzeża szkockiego przed nieprawdopodobnym atakiem nieprzyjaciela z karabinem na ramieniu w składzie baonu oficerskiego?" — zapytuje autor i odpowiada: „Nie, absolutnie nie, wszystko tylko nie to."

W takich okolicznościach zrodziła się idea przekształcenia brygady na brygadę spadochronową kadrową, której celem był skok do Kraju, wypełnienie szeregów ochotnikami na miejscu i wzięcie udziału w działaniach Armii Krajowej. Realizacja nasuwała olbrzymie trudności, ale wedle zdania autora: „Nieograniczone są ludzkie możliwości, gdy się ma cel, który całkowicie pociąga i gdy się ma silną wolę jego realizacji. Byle chcieć, mocno chcieć i wolę czynu w czyn zamienić."

Postawienie jako celu skoku do Kraju „najkrótszą drogą" — jak później mówiło zawołanie brygady i co dało tytuł tej książki — okazało się znakomitym zabiegiem wychowawczym.

Wszyscy zabrali się z entuzjazmem do pracy. Największym entuzjastą był sam dowódca brygady, chociaż zdawał sobie sprawę z piętrzących się trudności. Zwierza się jednak czytelnikom, że liczył bardzo na swoje szczęście żołnierskie i aby nie być gołosłownym, wymienia długą listę wypadków, ze swojej służby wojskowej, w których powodzenie zawdzięczał szczęściu. Stwierdza przy tym, że szczęście żołnierskie jest nieodzownym atrybutem dobrego dowódcy.

W szkoleniu spadochronowym główną trudność stanowił różnorodny pod względem wieku i kondycji fizycznej skład osobowy brygady. Wysłani na kurs spadochronowy angielski do Ringwayu, nasi żołnierze nie wytrzymywali morderczego tempa zaprawy fizycznej, przystosowanej do młodych i dobranych specjalnie żołnierzy angielskich. Wobec tego stworzony został we własnym zakresie ośrodek wstępnego szkolenia spadochronowego w Largo House, tzw. popularnie „Małpi Gaj", barwnie opisany przez autora.

Ćwiczenia tam przeprowadzane, aczkolwiek łagodniejsze i bardziej stopniowane niż na kursie angielskim, były jednakże ciężkie. Wszyscy musieli je przechodzić, a generał kroczył na czele, wyznając zasadę, że najlepszym środkiem pozyskania zaufania żołnierzy i zachęcenia ich do wysiłków jest własny przykład dowódcy. Wszystko odbywało się w pogodnym nastroju, o czym mówi pełna humoru nazwa ośrodka. Humor ten był może nieco zabarwiony na wisielczo, o czym świadczył nieoficjalny napis przy wejściu: „Szukasz śmierci, wstąp na chwilę".

Uparte dążenie do realizacji postawionego celu pomogło pokonać trudności. 23 września 1941 roku wyszedł rozkaz Naczelnego Wodza nadający brygadzie oficjalną nazwę brygady spadochronowej i uznający ją następnie jako jednostkę, która ma osiągnąć pełne stany. W rok potem, we wrześniu 1942, brygada uzyskała brytyjski etat osobowy i materiałowy. Między generałem Sikorskim i szefem imperialnego sztabu, marszałkiem sir Alan Brookem stanęła umowa, na mocy której brygada spadochronowa była w całkowitej dyspozycji polskiego Naczelnego Wodza, również pod względem operacyjnym, z zasadniczym przeznaczeniem do użycia jej w Kraju.

Najbardziej interesujące z punktu widzenia wojskowego i zarazem najpiękniejsze stronice książki to te, na których autor opisuje przygotowanie do akcji, skok na pole bitwy i walkę brygady w operacji pod Arnhem.

Ta część książki otrzymała tytuł „O oszczędność krwi żołnierskiej". Problemowi temu autor poświęca wiele uwagi, głosząc tezę, że „obowiązkiem każdego dowódcy jest wykonanie powierzonego mu zadania z najmniejszymi dla podkomendnych stratami".

Wydawałoby się, że sprawa ta rozumie się sama przez się, ale autor specjalnie ją podkreśla, a nadając całej części, w której opisane są walki, tytuł „O oszczędność krwi żołnierskiej", niejako wskazuje, że myśl ta dominowała w nim przez cały czas przygotowania do walki i w samej walce. Bo generał kochał swych żołnierzy, choć był wymagający i pozornie szorstki. Nazywali go w brygadzie żartobliwie „Tyranem", ale także „Starym", co brzmi już bardzo rodzinnie.

Opis przelotu i skoku na pole bitwy jest wprost fascynujący. Nawet stary żołnierz, który w niejednej bitwie wąchał proch, będzie z wielkim napięciem czytał te strony i przeżywał głęboko dni chwały brygady.

Swój stosunek do przełożonych brytyjskich przedstawia gen. Sosabowski z niezwykłym umiarem. Choć miał dane, by krytycznie patrzeć na prowadzenie operacji, wstrzymywał się z wypowiedzeniem swoich poglądów na szersze zagadnienia operacyjne ograniczając się jedynie do spraw swojej brygady, która w boju wykonała całkowicie i bez reszty włożone na nią zadanie.

Nie było dane brygadzie spełnić swój najwyższy cel, jakim był skok do Kraju. Żądanie sprzymierzonych, któremu ze względów politycznych nie można było odmówić, spowodowało, że brygada, zamiast udania się do Kraju, weszła do akcji na Zachodzie w ramach największej operacji powietrznej drugiej wojny światowej — pod Arnhem. Swoim istnieniem jednak i walką w tej bitwie brygada wielce przysłużyła się sprawie polskiej propagandowo. Stworzyła też ona nowy rozdział polskiej tradycji wojennej, na których będą się opierać zręby przyszłej armii polskiej.

Fakty te utrwala w sposób niezmiernie żywy i prosty i przekonywujący piękna książka gen. Sosabowskiego.

S. Lityński

---

*) S. Sosabowski: **NAJKRÓTSZĄ DROGĄ.** Komitet Wydawniczy Polskich Spadochroniarzy. 1957. Skład Główny „Veritas" w Londynie. Cena 30 szyl.

ŻYCIE MIĘDZYNARODOWE

CZY TYLKO ROKOWANIA HANDLOWE?

(Od korespondenta własnego z Berlina)

W połowie lipca b. r. rozpoczęły się w Moskwie pomiędzy ZSSR a Niemiecką Republiką Federalną od dawna oczekiwane rokowania w sprawie zawarcia normalnego traktatu handlowego. Jednocześnie z traktatem handlowym negocjowany jest układ konsularny. Niemcy dążą ponadto do zawarcia układu w sprawie repatriacji Niemców, przebywających jeszcze w Rosji. W chwili wyjazdu delegacji niemieckiej do Moskwy zapowiadano ukończenie rokowań w ciągu dwóch miesięcy. Ale już po kilku spotkaniach obu delegacji nastąpiła na początku sierpnia przerwa, spowodowana nieprzedejmowaniem przez Rosję pertraktacji na temat repatriacji Niemców. Przewodniczący delegacji niemieckiej, nadzwyczajny ambasador Lahr, wyjechał do Bonn. Zdawało się, że rokowania już w pierwszej fazie utknęły na martwym punkcie. Rząd NRF postanowił jednak nie zniechęcać się przeszkodami sowieckimi i polecił swemu ambasadorowi ponowny wyjazd do Moskwy celem kontynuowania rozmów. Cały kompleks obecnych rokowań moskiewskich posiada wiele specjalnych aspektów, które omówić pragniemy w dzisiejszej korespondencji.

Cel polityczny rokowań. Jakkolwiek Rosji niewątpliwie zależy na zacieśnieniu stosunków handlowych z NRF a szczególnie na otrzymaniu cennych fabrykatów przemysłu niemieckiego, to w istocie obecne rokowania służą przede wszystkim celom politycznym. Są one tylko fragmentem swoistych zabiegów Moskwy o zjednoczenie Niemiec na warunkach oczywiście sowieckich, względnie o rozluźnienie współpracy NRF z Zachodem i Ameryką. Niemcy ociągały się bardzo długo z podjęciem rokowań, które w zasadzie postanowione były już dwa lata temu, w czasie pobytu kanclerza Adenauera w Moskwie. Jeśli zgodziły się na wysłanie delegacji w chwili obecnej, to uczyniły to m. in. ze względu na bliski termin wyborów do Bundestagu w Bonn, pragnąc swoją gotowością do pertraktacji wytrącić argument opozycji, pomawiającej rząd o nie dość intensywne zabieganie o pełną normalizację stosunków z Rosją.

Przy tej okazji warto przypomnieć, że również i po pierwszej wojnie światowej sprawa stosunków handlowych Niemiec z ZSSR była przedmiotem długotrwałych sporów. Zawarcie ówczesnego traktatu spowodowane było ostatecznie względami natury politycznej, mimo że obu stronom zależało oczywiście także i na wymianie handlowej. I ówczesne rokowania trwać miały krótko, w rzeczywistości zaś trwały dwa lata i cztery miesiące. Podpisanie układu nastąpiło dopiero w październiku 1925 r. (mimo że układ w Rapallo podpisany został już wiosną 1922 r.) i to w czasie i na warunkach odpowiadających przede wszystkim intresom sowieckim. Przedmiotem szczególnych zabiegów rosyjskich była wówczas sprawa przyznania sowieckim przedstawicielstwom handlowym praw pełnej eksterytorialności. Postulat ten został uwzględniony i stał się precedensem do podobnych przywilejów, przyznawanych przedstawicielstwom sowieckim w stosunkach z innymi państwami.

Dążenie do zawarcia traktatu handlowego pomiędzy NRF a ZSSR nie oznacza, by już dzisiaj nie istniała wymiana handlowa pomiędzy obu państwami. Ma ona jednak wyłącznie charakter doraźnych umów prywatnych, zawieranych przez sowieckie instytucje handlu zagranicznego i poszczególne niemieckie firmy eksportowe, względnie importowe. Wymiana dzisiejsza ma ponadto skromny charakter. W roku 1955 wartość niemieckiego importu z Rosji równała się 35,9 milionów dolarów, eksportu do Sowietów — 26,7 milionów dolarów, co stanowi 0,62% ogólnego importu, względnie 0,44% eksportu zachodnio-niemieckiego. Dla porównania nadmieniamy, że import NRF z Polski wynosił w roku 1955 0,48% a eksport do Polski 0,45% całego niemieckiego handlu zagranicznego. Import przedwojennej Rzeszy z Rosji wynosił w roku 1935 5,2%, a eksport tylko 0,9% (był to już okres intensywnych zbrojeń państwa hitlerowskiego). Najważniejsze pozycje niemieckiego importu z Rosji stanowiły w 1955: zboża, bawełna, drzewo, żelazo i ruda manganowa. Do Rosji eksportowano przede wszystkim statki i wyroby miedziane. Rosja pragnie oczywiście znacznej rozbudowy wymiany. Ale również i pewne koła przemysłu zachodnio - niemieckiego (zwłaszcza przemysłu maszynowego) są zainteresowane w powiększeniu obrotów handlowych z ZSSR.

Szczególną rolę odgrywa przy obecnych rokowaniach handlowych doczepiona do nich sprawa repatriacji Niemców z Rosji. Dwa lata temu, w czasie nawiązywania stosunków dyplomatycznych pomiędzy Bonn a Moskwą, Rosja zgodziła się na repatriację obywateli niemieckich, w szczególności pozostałych jeszcze w Rosji jeńców wojennych. W wyniku tego przyrzeczenia powróciło do Niemiec kilkanaście tysięcy przeważnie jeńców. Cywilni obywatele niemieccy wracali tylko sporadycznie. Któregoś dnia Rosja oświadczyła, że repatriacja Niemców została ukończona, ponieważ wszyscy Niemcy opuścili już terytorium ZSSR. Według imiennie zestawionych list niemieckich przebywa jednak w Rosji nadal około 90 tysięcy Niemców, którzy pragną powrócić do ojczyzny. Niemcy zabiegały bezskutecznie o nakłonienie władz rosyjskich do wypuszczenia tych ludzi, aż wreszcie wobec natarczywych zabiegów sowieckich o podjęcie rokowań handlowych, wyraziły zgodę na podjęcie rokowań pod warunkiem, że przedmiotem ich będzie jednocześnie sprawa repatriacji. Niemcy stworzyli junctim pomiędzy repatriacją a układem handlowym. Toczyła się następnie długotrwała wymiana not dyplomatycznych na ten temat, aż wreszcie jedna z not sowieckich oświadczyła, że problem obywateli niemieckich w Rosji nie istnieje, ponieważ wszyscy obywatele niemieccy zostali już repatriowani. Rosja wyraziła gotowość omówienia w czasie rokowań sprawy repatriacji sporadycznych obywateli, którzy ewentualnie znajdują się jeszcze na obszarze Związku Sowieckiego.

Problem repatriacji obywateli niemieckich z Rosji sprowadza się do pryncypalnego pytania: kto jest obywatelem niemieckim, czyje prawo: niemieckie czy sowieckie, jest miarodajne przy określaniu obywatelstwa pozostałych w Rosji Niemców? — Niemcy stoją oczywiście na stanowisku, że ich prawo, względnie stan prawny z dnia 8 maja 1945 (termin zakończenia działań wojennych) — jest w tym wypadku obowiązujący. Na zasadzie tej interpretacji Bonn uważa za obywateli niemieckich nie tylko byłych mieszkańców swych przedwojennych prowincji wschodnich lub innych terytoriów niemieckich, z których wywiezieni zostali oni do Rosji, ale również i tych, którzy w latach 1939-1941, na zasadzie ówczesnych umów repatriacyjnych, zawartych pomiędzy Berlinem i Moskwą, powrócili do Niemiec i uzyskali obywatelstwo niemieckie, a także i tych, których okupacja niemiecka zastała w Sowietach i którzy, choć wrócili do Rzeszy i otrzymali obywatelstwo niemieckie, lecz w ostatniej fazie wojny, w czasie inwazji rosyjskiej, dostali się ponownie w ręce sowieckie. Liczba pierwszej kategorii, tj. bezspornie przedwojennych obywateli niemieckich jest już chyba bardzo niewielka, bo albo obywatele ci już powrócili do Niemiec, albo też — a takich były dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy — zginęli i już nigdy nie wrócą.

Sporną w istocie kwestią jest sprawa owych przedwojennych mieszkańców Rosji, obdarzonych w czasie wojny obywatelstwem niemieckim. Takich jest dobrych kilkadziesiąt tysięcy. Rosja oczywiście niemieckich aktów prawnych z czasów wojny nie uznaje, a równocześnie układy z lat 1939-1941 uważa — na skutek agresji hitlerowskiej — za anulowane. Zalicza więc ich wszystkich do obywateli Związku Sowieckiego i wzbrania się tej kategorii udzielić zezwolenia na opuszczenie terytorium rosyjskiego. Również i mieszkańców tej części Prus Wschodnich, która należy dziś do Rosji, traktuje rząd moskiewski jako swoich poddanych.

Samowolne określanie obywatelstwa. Praktyka sowiecka w zakresie samowolnego określania obywatelstwa ludności na obszarach anektowanych nie stanowi żadnego novum. Przypominamy w związku z tym stanowisko władz sowieckich po układzie polsko-rosyjskim w roku 1941 (układ Sikorski — Majski).

Wówczas to a również i po wojnie traktowali bolszewicy mieszkańców naszych ziem wschodnich, w szczególności Ukraińców i Białorusinów jako swoich poddanych. Dopiero zawarty niedawno temu przez rząd warszawski układ repatriacyjny przyjął dzień 17 września 1939 r. (dzień wkroczenia wojsk sowieckich do Polski) jako datę dla określenia obywatelstwa osób wywiezionych względnie przebywających w Rosji. Ale „przywilej" ten odnosi się tylko do ludności polskiej, a nie do innych narodowości.

W normalnych stosunkach pomiędzy kulturalnymi państwami tego rodzaju sprawy sporne, w których chodzi o los człowieka, są na ogół traktowane niezależnie od formalnej litery prawa. W zasadzie starają się zainteresowane czynniki postępować w tych wypadkach zgodnie z wolą zainteresowanych jednostek i z ogólnymi zasadami człowieczeństwa. Sowiety nie czują się jednak tym kodeksem humanitarnym związane. Los człowieka i jednostki nic ich nie obchodzi. Kierują się wyłącznie egoistycznym interesem swej racji stanu. Myli się więc ten, kto myśli, że Rosja w tej sprawie bezinteresownie ustąpi. Sprawa repatriacji Niemców posiada jeszcze i inny aspekt. Wśród pozostałych w Rosji Niemców znajduje się wielu cennych specjalistów i dużo pożądanego materiału roboczego. Ponadto przypomnieć należy, że istnieją dwa państwa niemieckie i że Rosji zależeć będzie na tym, by politycznymi użytkownikami ewentualnych ustępstw sowieckich w tym zakresie była przede wszystkim komunistyczna Niemiecka Demokratyczna Republika. Rosja przychyli się do postulatu zachodnio-niemieckiego jedynie w tym wypadku, jeśli w zamian za ustępstwo swoje uzyska odpowiedni dla siebie ekwiwalent polityczny. Podobna sytuacja powstała we wrześniu 1955 r., w czasie pobytu dr. Adenauera w Moskwie — i wówczas Sowiety zgodziły się na repatriację jeńców dopiero wówczas, kiedy Bonn zgodziło się na nawiązanie stosunków dyplomatycznych. Jakiej ceny tym razem Rosja ewentualnie żądać będzie za wypuszczenie od siebie Niemców — jeśli w ogóle na „ustępstwo" w tym zakresie się zdecyduje — trudno przewidzieć. Nie sądzimy, by „cena" żądana od NRF miała ograniczać się tylko do korzystnego dla Moskwy układu handlowego. Delegacja niemiecka w Moskwie staje przed bardzo trudnym zadaniem.

St. Czechanowski

FRANK I KOSZTY WOJNY W ALGERII

Dewaluacja franka, dokonana przez 37-letniego ministra skarbu Gaillarda, i inne jego posunięcia, uzgodnione oczywiście z całym gabinetem p. Bourges-Manoury, pobudziły znów dyskusję na temat istotnych przyczyn ciężkiego położenia gospodarczego, w jakie popadła Francja. Jako jeden z walnych powodów wysuwane są przez niektórych polityków i ekonomistów koszty wojny w Algerii — i to koszty w różnych postaciach, nie tylko bezpośrednie, ale i pośrednie.

Czy tylko tyle? Przez długi czas uchodziło za cyfrę pewną, że wojna w Algerii kosztuje Francję rocznie około 400 miliardów franków, to jest nieco mniej niż 400 milionów funtów szterlingów. Było to w okresie, kiedy rząd Molleta pragnął pokryć deficyt tej wysokości nowymi podatkami i posunięciami oszczędnościowymi i spodziewał się, że zdoła przez to zrównoważyć budżet państwowy. Wymieniona suma wynosiła 7 do 8 procent wydatków państwowych i także z tego punktu widzenia wygodna była do argumentowania. Nie była ona sprzeczna z poglądem, że Francja może sobie gospodarczo pozwolić przez całe lata na prowadzenie takiej wojny, oczywiście zakładając, że w tym czasie nie będzie mogła poświęcać wielkich funduszów na dalszą modernizację swego przemysłu, na ulepszenie świadczeń społecznych i na inne reformy.

Stopniowo jednak takie sformułowanie stosunku między śrubą podatkową a wojną stało się niewygodne; im większą pustką ziały kasy państwowe i im szybciej ceny skakały w górę, tym gorliwiej podkreślano, że to nie wojna temu winna, ale kryzys wywołany rozrostem gospodarczym, który Francji od załatwienia sprawy algerskiej. W używany był też jako argument do podjęcia rokowań o pożyczkę w Stanach Zjednoczonych, gdzie zresztą już poprzednio wychodziło z wpływowych kół amerykańskich żądanie uzależnienia pomocy kredytowej dla Francji do załatwienia sprawy algerskiej. W końcu, z kierowniczych kół francuskich wyszła formułka, że cała wojna algerska nie kosztuje Francję więcej niż wynosi deficyt jej kolei.

Podkreślano też, że 480.000 żołnierzy francuskich w Algerii przyczynia się poważnie do ożywienia życia gospodarczego Algerii. Zwiększone znacznie wpływy podatkowe wyrównały zwykły budżet trzech departamentów w Algerii, którego niedobory zwykle pokrywać musiał kraj macierzysty. Niepokoje polityczne wstrzymały ponadto szereg planowanych inwestycyj i w tej sposób ogólne wydatki zmniejszyły się. Stworzyło to podstawę do argumentowania, że wojna jest „tania" — ale złudność takiej argumentacji jest oczywista.

Ataki opozycji. Opozycja skorzystała z tego, by takim obliczeniom przeciwstawić własne, częścią z pewnością słuszne, częścią posługujące się również przypuszczeniami o charakterze hipotetycznym. W obliczeniach tych pomija się fakt, że Francja także po zakończeniu wojny algerskiej, jeśli pragnęłaby pozostać w Afryce Północnej, musiałaby robić corocznie inwestycje, które prawdopodobnie nie byłyby mniej kosztowne niż obecna wojna. Oczywista różnica polega na tym, że byłyby to wydatki produktywne i nie godziłyby w najbardziej czułe miejsca gospodarstwa francuskiego.

Najdotkliwszy był niewątpliwie atak b. premiera Mendès-France'a, który uderzył na wykolejenia gospodarcze, do jakich prowadzi stan wojny. Podkreślił więc przede wszystkim, że francuski przemysł mechaniczny i elektryczny w coraz się zwiększającej mierze pracuje na potrzeby wojny w Algerii, choć właśnie obie te gałęzie przemysłu winny pokrywać niedobór francuskiego bilansu dewizowego. Wskazał też na fakt, że we wszystkich gałęziach eksportu brak jest sił roboczych, które przetrzymywane są pod bronią dłużej niż to było przewidziane. Mendès-France przytoczył także cyfry wysokich importów z obszaru dolarowego, których też wymagają potrzeby wojenne. Jeśli bowiem chodzi jeszcze o wojnę indochińską, na prowadzenie której Stany Zjednoczone dawały pomoc w dolarach, to z punktu widzenia francuskiej gospodarki dewizowej traktowana ona była jako „wywóz", który przysparzał dewiz i kosztował tylko franki. Natomiast wojna algerska jest w całej pełni „przywozem", który kosztuje dewizy i ponadto przeszkadza pozyskiwać dewizy.

Skrócenie czasu służby. Takie właśnie pośrednie skutki wojny najbardziej obecnie uderzają w ogarniętą kryzysem gospodarkę francuską. Toteż musiał wkroczyć w to wreszcie i rząd. Podczas ostatnich narad budżetowych minister Gaillard obstawał przy powrocie 200.000 żołnierzy do pracy w gospodarstwie francuskim i ostatecznie udało mu się uzyskać tę decyzję dla 130.000.

Są jeszcze i inne przyczyny. Ale nawet krytycy wojny w Algerii uznają, że istnieją jeszcze inne poważne przyczyny obecnego przesilenia gospodarczego. „Francja za długo żyła ponad stan" — oto stwierdzenie, które słyszy się bardzo często. Po pierwszej wojnie światowej Francja mogła jeszcze czerpać z międzynarodowych rezerw kapitałowych, które nagromadziła przed wojną. Po drugiej wojnie przyszło wsparcie amerykańskie w postaci planu Marshalla, pomocy militarnej i zamówień zbrojeniowych atlantyckich. Duży przypływ dolarów — jak już wspomnieliśmy — dała wojna w Indochinach, mimo jej żałosnego wyniku i osłabienia kraju.

Odkąd to wszystko się skończyło w roku 1956, Francja spożywa substancję swego majątku narodowego. To nie może trwać za długo i w kierunku znalezienia wyjścia z tej sytuacji idą posunięcia obecnego ministra skarbu.

Niewątpliwie nie brak Francji danych na wybrnięcie z obecnego kryzysu. Zmodernizowała już ona w sporej mierze przemysł, pomnożyła źródła energii, jej szkoły pełne są młodzieży, której znaczna część czuje pociąg do wykształcenia technicznego. Obliczono, że w 63 krajach świata przedsiębiorcy francuscy budują drogi, mosty, zapory wodne, elektrownie i stalownie. Otwierają się wspaniałe perspektywy w zakresie eksploatacji nafty na Saharze. Potrzeba jednak Francji ponadto poważnych ofiar i ograniczeń. Musi ona więcej wywozić, a mniej sama konsumować. Poziom cen musi ulec stabilizacji. Są to niezbędne warunki uporządkowania gospodarki, bez spełnienia których nie ma także mowy o ustaleniu kursu franka.

RAKIETA MIĘDZYKONTYNENTALNA

„Pokój miłujący" Związek Sowiecki, gdy mocarstwa zachodnie proponują zaprzestanie na dwa lata eksperymentów z bronią jądrową i rozbrojenie atmosfery, występuje z sensacyjnym komunikatem o nowym międzykontynentalnym rakietowym pocisku kierowanym, z głowicą atomową! Gen. Pokrowskij w „Sowieckim Lotnictwie" podaje szczegóły dotyczące nowej broni: pocisk ma osiągnąć wysokość około 600 mil (czyli ponad 1.000 km) i z tej wysokości może rzekomo trafiać w jakikolwiek punkt na całym globie ziemskim, z celnością o marginesie błędu od 6 do 12 mil (10-16 km), osiągając szybkość do 15.000 mil na godzinę (około 20.000 km/godz.)...

Komentarze polityków i specjalistów technicznych nie negują, iż Sowiety mogły uzyskać ciekawe wyniki w nieprzerwanie prowadzonych próbach z bronią atomową i rakietową, ale doradzają trzeźwość w ocenie komunikatów sowieckich. Podkreślają, że całkowicie brak danych w ogólnikowych wiadomościach, które by dowodziły, że sowiecka technika uporała się z dwiema największymi trudnościami w dziedzinie praktycznego użycia złowrogiego narzędzia zniszczenia, tj. z kwestią celności oraz uchronienia pocisku od spalenia się przy przelocie przez atmosferę ziemską z wielką szybkością.

Eksperci przeciwstawiają się twierdzeniom, że taka broń, nawet gdyby istotnie była wynaleziona, jest nie do odparcia. Skomplikowane techniczne wywody wskazują, że istnieją sposoby wykrycia zbliżającej się rakiety, obliczenia jej linii lotu i wysłania naprzeciw pocisku, który zderzając się lub przez

zbliżenie i wybuch spowoduje zniszczenie jej na odpowiedniej wysokości.

Polityczna analiza wystąpienia sowieckiego wskazuje, że ma on odegrać rolę straszaka i wpłynąć na sytuację w tych sprawach i na tych odcinkach, gdzie Sowiety prowadzą swoją, bynajmniej nie pokojową grę. Wymienia się odcinek Środkowego Wschodu oraz sprawę wyborów w Niemczech zach., jak również toczące się od dłuższego czasu rokowania rozbrojeniowe i bliskie posiedzenie Narodów Zjednoczonych. Wszędzie tam polityka sowiecka jest przypierana do muru przez konstruktywne propozycje demokracji zachodnich lub oskarżenia przeciwko sowieckiej agresji i penetracji.

Ostatnio nowy premier Kanady Diefenbaker oświadczył, że Kanada gotowa jest zgodzić się na inspekcję z powietrza całego terytorium kanadyjskiego przez Sowiety, jeżeli te ostatnie zgodzą się na otwarcie swego terytorium dla inspekcji powietrznej mocarstw zachodnich.

W świetle ujawnionego nastawienia polityki sowieckiej i zagrożenia, którym jest stałe dążenie Sowietów do supremacji zbrojeniowej, okazuje się jak krótkowzroczne są tendencję oszczędnościowe amerykańskiego Kongresu. W interesie Stanów Zjednoczonych i wolnego świata, nie ma dziś miejsca na skąpienie w sprawie lepszego przygotowania obrońców pokoju do odparcia napaści lub szantażu, ani w sprawie pomocy gospodarczej dla upośledzonych narodów, by usunąć przyczyny, na których żeruje dywersja i penetracja komunizmu.

CZERWONY RASIZM

Wybory do Rady Ustawodawczej w Gujanie, posiadłości brytyjskiej, która znajduje się w przeddzień uzyskania niepodległości, wykazały jak demagogia partii komunistycznej hamuje postęp demokratyczny i zaostrza antagonizmy rasowe.

Partia Ludowa, która reprezentuje dążenia tubylczej ludności do niepodległości i która opierała się na współpracy Indian i Murzynów, rozbita została już poprzednio w wyniku wstrząsu wywołanego przez jednego z jej przywódców, dr. Jagana, pochodzenia indiańskiego. Jego kolega, Murzyn, dr Burnham, odmówił dalszej współpracy i założył Partię Narodową, której celem zresztą jest również niepodległość Gujany, jednak z potępieniem krwawych rozruchów klasowych. Dr Burnham wzoruje się na swoim współplemieńcu dr. N'Krumah, który doprowadził do niepodległości Ghany. Element murzyński, bardziej kulturalny i wyrobiony, pragnie związać niepodległą Gujanę z Federacją Indii Zachodnich.

W ostatnich wyborach Partia Ludowa dr. Jagana rzuciła hasła walki rasowej i nie dopuściła do współpracy między Murzynami i Indianami. Indianie z dzikiego wnętrza kraju, w ogromnej większości analfabeci, poparli dr. Jagana i jego żonę, Janet Jagan, amerykańską komunistkę, uzyskując dla Partii Ludowej przeważającą większość w Radzie Ustawodawczej.

Skład Rady wpływa na powołanie Rady Wykonawczej czyli rządu Gujany, któremu przewodzi jeszcze obecnie gubernator. Na podstawie wyniku wyborów dr Jagan powinien zostać naczelnym ministrem w rządzie. Jednak ekstremistyczne nastawienie komunistycznej Partii Ludowej i rasistowskie wobec białych i Murzynów, pamięć zamieszek jakie swego czasu wywołała, komplikuje sytuację i może zahamować ewolucję Gujany na drodze do niepodległości, tym bardziej że dr Jagan jest przeciwny wchodzeniu do Federacji Indii Zachodnich. Trudno się dziwić obawom przed dyktaturą indyjsko-komunistyczną, jaka zagraża krajowi, chociaż przywódca zwycięskiej partii mnoży oświadczenia, w których wypiera się swoich związków z międzynarodowym komunizmem.

ECHA FESTIWALU

W londyńskich dzienniku „Daily Telegraph" miała miejsce ciekawa wymiana listów w sprawie niedawnego festiwalu młodzieży w Moskwie, gdzie młodzież brytyjska brała liczny udział. Dyrektor teatru Michael Croft zaatakowany przez Komitet Stosunków z Sowietami za niereprezentatywny charakter delegacji brytyjskiej, w której skład wchodził Teatr Młodzieżowy (Youth Theatre), pisze:

„...Teatr Młodzieżowy, który — naszym zdaniem — reprezentuje najlepszy typ młodzieży brytyjskiej, był jedną z wielu niekomunistycznych organizacji zaproszonych na festiwal... Stanowisku Teatru, podobnie jak wielu innych organizacji młodzieży, było aby wykorzystać jak najlepiej zaproszenie. Traktowaliśmy je, jako znakomitą okazję, by inteligentnej młodzieży, o ustalonych poglądach, dać po raz pierwszy wgląd w Rosję, przy czym ten typ młodzieży majoryzował całkowicie elementy komunistyczne, które — jak wiadomo — miały także przybyć z Wielkiej Brytanii. Nasza młodzież mogła powiedzieć mieszkańcom Moskwy, co przeciętny Brytyjczyk myśli o systemie komunistycznym, a równocześnie wykazać, że być Brytyjczykiem — to nie znaczy koniecznie być pączkującym faszystą.

„Była to więc okazja wyjątkowo do zrobienia dobrej roboty — lepszej, uważam, niż osiągnięcia baletu Morrisa, obszarpanych intelektualistów czy podstarzałych poetów, tak ukochanych przez British Council..."

Interesującym uzupełnieniem tej szczerej wypowiedzi jest list jednego z młodych, A. Churchilla, który pisze:

„...Wróciłem z Festiwalu Młodzieży w Moskwie. Ponieważ dwu moich towarzyszy mówiło po rosyjsku, mogłem wyrobić sobie jasny pogląd na rosyjską młodzież.

„Tych, których spotkałem, mógłbym podzielić na trzy kategorie. Mniej rozgarnięci, przyszli robotnicy, przymują bez szemrania propagandę, jaka jest im podawana. Są bardziej zainteresowani materialnym poziomem życia niż wolnością, którą my na Zachodzie uważamy za sprawę tak zasadniczą. Byli nastawieni, by nasze argumenty pomijać jako propagandę. Jeżeli w jakikolwiek sposób wyobrażali sobie Wielką Brytanię, to obraz ten był z epoki Dickensa, czy co najwyżej z lat trzydziestych, ale na pewno niewiele miał wspólnego z naszym krajem w obecnej chwili. Zapytałem jednego, który był w Anglii, dlaczego nie prostował mylnych poglądów. Odpowiedział, że jego usiłowania spotkały się z niewiarą. Dziwne jest, że przeinaczanie rzeczywistości w prasie sowieckiej w odniesieniu do Wielkiej Brytanii nie podważyło u niego w najmniejszej mierze wiary w wypowiedzi tej prasy w innych sprawach.

„Drugi typ młodzieży, z którym się zetknąłem, to młodzież uświadomiona partyjnie, ambitna i zdająca sobie sprawę ze swych powiązań życiowych z reżymem, poprzez ojców na stanowiskach w administracji. Niektórzy z nich chcą entuzjastycznie wierzyć w to, co jest dla nich psychologiczną koniecznością. Trudno jest z nimi dyskutować. Mają do dyspozycji wiele faktów i cyfr oraz atakują kapitalizm czy kolonializm gwałtownie, bez żadnej chęci zrozumienia komplikacji z tymi sprawami związanych.

„Typ trzeci przedstawia się najbardziej interesująco. Ci młodzi pragną wolności krytyki, dyskusji i dowiedzenia się prawdy, której nie znajdują w Związku Sowieckim. Boli ich wiele spraw w polityce sowieckiej — sprawa Węgier, to co ujawniło potępienie okresu stalinowskiego, propaganda przeciwko Zachodowi, okoliczności rozgrywki z grupą Mołotowa — Malenkowa.

„Spotkani studenci mówili nam, że ten typ młodzieży jest bardzo liczny. Nawiasem mówiąc, wielu z nich podobno władze wysłały z Moskwy na okres festiwalu — do pracy na dziewiczych terenach, przy wojsku, albo po prostu na prowincję.

„Przede wszystkim jednak bardzo trudno się z nimi zetknąć, ponieważ są zastraszeni. Są na ogół bardzo nieufni oraz obawiają się mikrofonów i policji. Dlatego też niewielu ich pokazywało się w hostelu, gdzie mieszkała młodzież brytyjska. Są tacy, którzy boją się, że wykrycie ich krytycznej postawy mogłoby pociągnąć kary od 10 do 15 lat więzienia.

„Ta ostatnia grupa może odegrać ważną rolę w przyszłości. W miarę odchodzenia w przeszłość ery stalinowskiej, ich lęk może się rozwiać i będą występować śmielej, a bierny ich opór zmusi władze do dania ludowi rosyjskiemu wolności, której pragną."

ZGON WYBITNEGO PISARZA KATOLICKIEGO

Dnia 24 sierpnia zmarł w wieku lat 69, w mieszkaniu swym w Mells (Somerset) wybitny angielski pisarz katolicki i tłumacz Pisma Świętego mgr Ronald A. Knox. Urodzony w roku 1888 jako syn pastora anglikańskiego, kształcił się w Oksfordzie, gdzie później został wykładowcą w Trinity College. Poświęcał się studiom nad poezją angielską i łacińską i ogłosił szereg książek z tego zakresu. Słynął z żywego dowcipu i pisywał satyry w stylu Swifta czy Drydena.

W roku 1917 został przyjęty w Farnborough Abbey do Kościoła katolickiego. Zrezygnował wówczas z funkcyj swych w Oksfordzie i przygotowywał się do stanu kapłańskiego. Był potem przez piętnaście lat kapelanem katolickim na uniwersytecie oksfordzkim.

W roku 1936 ks. Knox otrzymał godność prałata domowego Jego Świątobliwości.

Jego plon pisarski obejmuje przeszło czterdzieści książek o treści bardzo różnorodnej; są to zbiory kazań, książki apologetyczne, rozprawy literackie, a nawet powieści detektywistyczne. Głównym jednak dziełem życia ks. Knoxa jest jego nowy, doskonały przekład Pisma Świętego na język angielski, podjęty przez niego na wezwanie Episkopatu katolickiego Anglii i Walii. Dla dokonania tego przekładu ks. Knox osiadł w posiadłości lorda Actona, Aldenham Park koło Bridgnorth, gdzie spędził na pracy przeszło dziewięć lat. Przekład Nowego Testamentu ukazał się w roku 1945, a Starego Testamentu w roku 1949. Tłumaczenie spotkało się od razu z powszechnym uznaniem, i to nie tylko w kołach katolickich. Ks. Knox miał doskonałe — jako tłumacz — kwalifikacje: nie tylko świetną znajomość języka hebrajskiego, łaciny i greki, ale także żywy i barwny, a przy tym precyzyjny styl w nowoczesnym języku angielskim.

Ks. Knox czynny był do końca życia w dziedzinie pisarskiej. Na sześć tygodni przed śmiercią ukończył nowy angielski przekład „Dziejów duszy" św. Teresy z Lisieux.

LUDZIE I ZDARZENIA

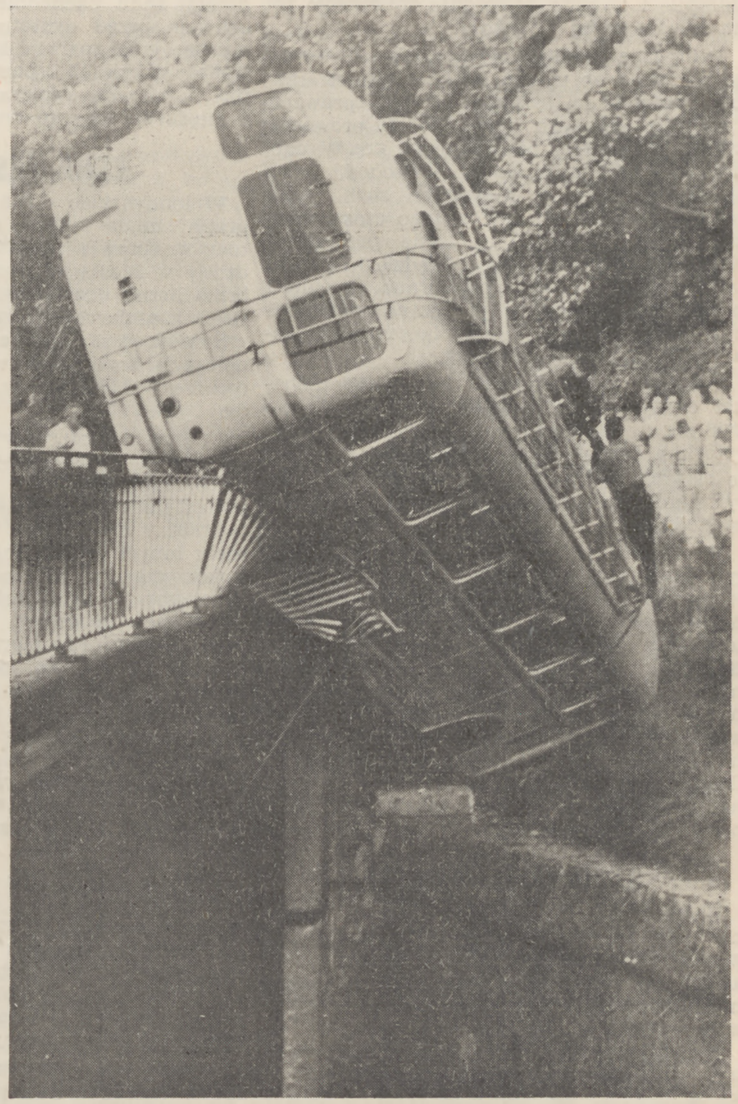
„Niekrasow", najmłodsza ze sztuk teatralnych Jean Paul Sartre'a wystawiona została w Edynburgu w dniu inauguracji tegorocznego Festiwalu. Skoro już impreza ta nie mogła w żaden sposób obyć się bez proroka egzystencjalizmu, to na pewno można było znaleźć bardziej udane jego dzieło. Sztuka pt. „Niekrasow" jest bowiem zwykłą „agit-propką", napisaną z inspiracji partii komunistycznej, której Sartre od lat wiernie służył, a z którą się korespondencyjnie rozstał po tragedii węgierskiej — bardziej ze względów reklamowych niż ideologicznych. Tekst, w którym autor sili się na ośmieszenie akcji antykomunistycznej we Francji, skomponowany jest zresztą bardzo nieudolnie, choć miejscami z właściwą autorowi „Brudnych rąk" błyskotliwością. Kiedy przed dwoma laty miano wystawić tę sztukę w Paryżu, kilku znanych aktorów odmówiło objęcia w niej roli; po czym, po bardzo głośnej reklamie, „Niekrasow" zrobił w teatrze „Antoine" cichą klapę. Jeżeli komuś zależało na tym, by obniżyć poziom reprezentacyjnego, bądź co bądź, Festiwalu edynburskiego, a zarazem ośmieszyć Francję, to „on n'a pas trouvé mieux". (Na zdjęciu znany angielski aktor Robert Helpmann w roli fałszywego Niekrasowa.)

✶

La Grande Corniche, tj. górska szosa, wijąca się nad najpiękniejszą częścią francuskiej Riviery, omal nie była przed kilku dniami teatrem poważnej katastrofy. Fotografia nasza najlepiej wytłumaczy Czytelnikom, jak wielkie niebezpieczeństwo groziło pasażerom tego autokaru, który wyłamał bariery mostu nad skalną rozpadliną, na drodze pomiędzy Antibes a Cannes. Wszystkim uczestnikom tej prawie tragicznej przygody udało się jednak wyjść bez wypadku.

✶

Paul Lewerkhuehn, dawny agent niemieckiej służby wywiadowczej, którą kierował słynny admirał Canaris, a obecnie poseł do parlamentu Niemiec zachodnich z ramienia partii chrześcijańsko - demokratycznej, wydał ostatnio książkę poświęconą osiągnięciom niemieckiego wywiadu wojskowego w ostatniej wojnie. Dowiadujemy się z niej między innymi wielu ciekawych szczegółów dotyczących organizacji osławionej „5 kolumny", która po raz pierwszy wprowadzona była do akcji w czasie kampanii polskiej w roku 1939; o planach Himmlera „unieszkodliwienia" armii francuskiej przy pomocy wina zawierającego narkotyki; o tym, że w roku 1943 dzisiejszy marszałek Tito pertraktował ze sztabem niemieckiej armii na Bałkanach w sprawie wojskowego „paktu nieagresji", oraz o wielu innych sekretach ostatniej wojny.





„Czarownice z Salem", czyli 6 kobiet, które pod zarzutem uprawiania czarów skazano w Nowej Anglii na śmierć i powieszono w roku 1692, zostały obecnie oficjalnie zrehabilitowane. Odpowiedni akt prawny podpisał w Bostonie gubernator stanu Massachusetts. Zauważyć można, że prawo działało w tym wypadku dość powoli, gdyż poprzedni proces rehabilitacyjny, w którym stwierdzono bezpodstawność zarzutów w stosunku do 19 „czarownic" powieszonych w tym samym czasie i miejscu, jak również dwóch które zmarły w więzieniu oraz jednej ukamienowanej, odbył się w Ameryce w roku 1711. Pomimo tej zwłoki ogłoszony obecnie akt prawny zawiera klauzulę, że stan. Massachusetts nie jest odpowiedzialny cywilnie wobec ewentualnych spadkobierców straconych kobiet. Historia procesu w Salem stała się przed kilku laty znowu głośna dzięki sztuce amerykańskiego pisarza Artura Millera, według której następnie nakręcono we Francji film.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.